



Prace laureatów i autorów wyróżnionych w Międzynarodowym Konkursie
Literackim dla Dzieci i Młodzieży
„Twórcza Polska i Polonia”, Ustka 2020/2021

Organizator



Patroni honorowi



Burmistrz Miasta Ustka



Wójt Gminy Ustka



STOWARZYSZENIE
„WSPÓLNOTA POLSKA”



CENTRALA
POLSKICH SZKÓŁ
DOKSZTAŁCAJĄCYCH
W AMERYCE

Fundatorzy nagród



Burmistrz Miasta Ustka



Wójt Gminy Ustka



Media Rodzina



Prace są zaprezentowane wg kategorii wiekowej (klasa), poezja, proza, nazwiska autorów w układzie alfabetycznym. Zgodnie z decyzją jurorów do prac wprowadzono jedynie niewielkie korekty językowe.

Uczniowie kl. IV-VI

Poezja

Agata Kiecka, *Lodziarnia*

Przy zakręconej drodze
jest miejsce, gdzie wieje chłodem.
Tam niebieskooka pani
serwuje same specjały.
W środku jest tęcza kolorów
i gwarantowana poprawa humoru.
Ta lodziarnia jest naprawdę wspaniała.

Patrick Kosmala, *Inne święta, inne życie*

Niedawno znów minęły święta,
o których każdy z nas pamięta.
Było to inne Boże Narodzenie,
a nie świątecznych marzeń spełnienie.
Przy wigilijnym stole nie było tłoku,
jak to miało miejsce w ubiegłym roku.
Babci nie widziałem ponad pół roku,
gdy znów mnie zobaczy, dostanie szoku.
Że bardzo się zmieniłem i jestem taki duży,
nie boję się pajaków ani żadnej burzy.
Tak mi brakuje kolegów i szkoły,

ciekawego życia i przygód wesołych.

Ale jest nadzieja, są wreszcie szczepionki,
może wkrótce zabrzmia dla nas szkolne dzwonki.

Wreszcie bez obawy podejść do dziadków,
dam im buziaka i bukiet pięknych kwiatków.

Maja Królikowska, *Czas*

A gdyby tak oszukać czas,
zatrzymać zegarek na chwilę.

Można by zrobić coś,
na co czekało się tyle.

Spełnić marzenia i sny,
pobawić się chociaż godzinę.

Nie liczyć chwil, nie łapać czasu dziurawą siatką na motyle.

Bez przejmowania iść z psem do lasu
i spędzić tam bardzo dużo czasu.

Zostawić w kącie złe telefony,
być całe życie zadowolonym.

W kącie dać zmartwienia, spełniać życzenia,
śpiewać i tańczyć z zadowolenia.

Ale niestety życie jest takie,
że czas ucieka i figa z makiem.

Nawet jak zrobisz mnóstwo hałasu,
to nie zatrzymasz pędzącego czasu.

Maja Królikowska, *Fantazja*

Narysuję obrazek z marzeń
na białej kartce papieru.

Przeniosę się w świat fantazji
i snów może zbyt wielu.

Na skrzydłach Pegaza przemierzę świat

i spotkam czarodzieja, który ma dwieście lat.
Księżniczkę z wieży uratuję
i tęczę na niebie narysuję.
Ożywię martwą naturę
i schowam się z myszką w mysią dziurę.
Razem z Alicją poszukam królika,
a z Mateuszem zaginionego guzika.
Poproszę rudzika o wskazanie drogi
do tajemniczego ogrodu, gdzie żyją stonogi.
Zaprzyjaźnię się z różą
i nadam jej kolorów,
i nie narysuję niczego według wzoru.
W moim piórniku jest kolorów wiele,
cały mój świat nimi obdzielę.

Albert Pajda, *Lekcja*

Mama krzyczy,
tata krzyczy,
Leon krzyczy,
Adela krzyczy.
Wszyscy krzyczą
z radości!
Bo nie połamałem wszystkich kości,
kiedy z huśtawki skoczyłem,
tylko rękę uszkodziłem.
I wiele się nauczyłem.
Huśtawka nie samolot.
Ja nie pilot.
Ziemia nie poduszka,
ale pupa jest miękka.

Nie tak jak moja ręka...

Ewa Wójcik, *Dla Dziadka*

Jutro nasze imieniny
Już ich razem nie spędzimy
Serce pęka, serce płacze
Już Cię więcej nie zobaczę
Zostały mi piękne wspomnienia
Choć Ciebie już tu nie ma
Za Twój śmiech, za Twój blask
który tak otaczał nas
Za to jak mnie kochałeś i
Jaką troską otaczałeś
Bardzo Dziadku Ci dziękuję
Nie zapomnę, obiecuję

Ewa Wójcik, *Urodziny*

Wokół śmiech rodziny
Dziś są moje urodziny
Czego pragnę, czego chcę
Każdy pyta, ciekaw bardzo
Jakie w duszy mam życzenia,
czy możliwe do spełnienia?

Nową książkę, nowe buty
Może do muzyki nuty?
Nie, naprawdę, nic nie trzeba
Poza szczęściem i spokojem
No i zdrowiem, moi Mili,
byśmy długo razem żyli!

Sebastian Zak, *Biały wiersz o szkole*

Moja szkoła ... wirtualna
jest, ale jakby jej nie było.

TEŚKNIĘ

za moją panią,
kolegami i koleżankami,
gwarem na przerwach.

PRÓBUJĘ

uczyć się w domu,
polubić zoom,
oswoić classroom.

MARZĘ

że pandemia się skończy
i wszystko wróci do normy.

Natalia Zielaskiewicz, *Zima 2020*

Przyszła Zima, lecz w tym roku
nie w kożuchu a w szlafroku,
a gdy już śniadanie zjadła,
przed laptopem się rozsiadła,
program Power Point wybrała
i do pracy się zabrała.

Wszystkie dachy jednym ruchem
oprószyła białym puchem,
pola, łąki ośnieżyła
i jeziora zamroziła.

Zamieniła deszczu krople
w kryształowe smukłe sople,
a nad stawem obok ławki
ułożyła dwie ślizgawki.

Przy karmniku dla sikorek
postawiła ziarna worek,
a dla saren i dla dzików
snopek siana przy paśniku.
Jeszcze posrebrzyła drzewa,
poprawiła szron na krzewach
i spojrzała chłodnym wzrokiem,
czy jest wszystko jak przed rokiem.
Potem „enter” nacisnęła
i się z dumą uśmiechnęła.
Bo choć pracowała zdalnie,
wyszło pięknie! Idealnie!

Natalia Zielaskiewicz, *(U)lotne marzenia*

Mam marzenia małe, duże
lecz największe to podróże.
Jeśli skrzydła mi wyrosną,
ruszę w drogę jeszcze wiosną.
I tak będę sobie lecieć
wzdłuż i wszerz po całym świecie.
Najpierw udam się do Francji,
kraju wiecznej elegancji.
Potem, już na Manhattanie,
zjem pancakesy na śniadanie.
Obiad w planach mam w Kentucky,
tam najlepsze są kurczaki.
Czapkę z wełny kupię w Limie,
bo choć dawno już po zimie,
to przede mną Antarktyda
i na pewno mi się przyda.
Może zdrzemnę się na Kubie,
bo wśród palm poleżeć lubię,
ale krótko, bo nad ranem

muszę być już nad Sudanem.
Potem sprawdzę, czy w Bombaju,
krowy aureole mają,
i w Tasmanii, czy kangury
noszą torby z ekoskóry.
Jeszcze do Japonii ruszę,
sushi zjeść koniecznie muszę.
I aż do Nowego Roku
spędzę z Buddą czas w Bangkoku.
Teraz nad Chinami krążę,
ale dalej już nie zdążę.
Muszę podróż swoją skrócić,
bo za chwilę mama wróci
i znów będzie awantura,
że wciąż siedzę z głową w chmurach.
A marzenia tak już mają,
że nie zawsze się spełniają.

Natalia Zielaskiewicz, *SOS dla Świata*

Świat się kurczy i maleje.
Wiesz, dlaczego tak się dzieje?
Popatrz, ile wokół śmieci,
sroka z reklamówką leci,
od maseczek i plastiku
aż się roi na trawniku.
Las za oknem nagle znika
i pojawia się fabryka.
Widać czarny dym z oddali,
sąsiad śmieci w piecu pali,
przez lenistwo i wygodę,
ktoś marnuje prąd i wodę.
Widok na nadmorskich plażach
już nie cieszy, a przeraża.

Pośród piasku i muszelek,
pełno kubków i butelek.
Żółw gdzieś znowu martwy pływa,
folia głowę mu zakrywa,
a w żołądku wieloryba
wysypisko całe chyba.
Możesz wciąż beczynnie siedzieć,
ale Świat chce ci powiedzieć,
że pod wielką górą śmieci,
czuje się jak foka w sieci
i że płacze, kiedy ścieki
płyną z rury wprost do rzeki,
że oddychać już nie może,
i że z każdym dniem jest gorzej.
Czy już wiesz, jak pomóc Światu?
Pomóż więc i Go uratuj!

Proza

Sara Ciepły, Korona, brawa i nogi w piasku, czyli mój rok 2019 w Polsce w 365 słowach

Czy można zostać królową w wakacje? Na pierwszy rzut oka wydaje się to niemożliwe, a jednak mi się udało! Posłuchajcie...

Rok szkolny zbliżał się do końca i zaczęłam się zastanawiać, co będę robić w wakacje. Wszystko stało się jasne, gdy moja mama oznajmiła, że latem polecimy do Polski!

Odwiedziłam tam swoją rodzinę, zwiedzałam stare zabytki, w tym zamki prawdziwych księżniczek, ale najfajniejszą rzeczą były warsztaty teatralne. Pani dała nam temat, a my musieliśmy improwizować, grając swoje role. Na przedstawienie sami zaprojektowaliśmy stroje. Moja grupa miała przedstawić sztukę „Król Maciuś Pierwszy”, a ja miałam zagrać królową, ze względu na długie włosy. Miałam bluzkę, którą znalazłam u babci w szafie. Była świetna, ale trochę za duża! Wachlarz zrobiłam sobie sama i był naprawdę bardzo piękny i kolorowy.

Kiedy nadszedł dzień występu, wszyscy byli podenerwowani. Zaczęło się przedstawienie – dzieci improwizowały na scenie. Niektóre teksty nie pasowały do siebie. Widownia się śmiała. Występowała tam też jedna dziewczynka, która w samym środku przedstawienia rozplakała się. Trzeba było szybko wymyślić tekst, a ona nie nadążała. Ja na siłę ożeniłam Króla Maciusia z moją córką, żebym przy niej miała dobrobyt na starość

Gorzej było z niektórymi strojami; lis zgubił ogon, a król koronę, złamała się noga tronu, a armata nie wystrzeliła papierowych kulek. Chłopiec, który miał grać na ukulele, zapomniał melodii i brzdąkał coś fałszywie. Ale, co najśmieszniejsze, widownia myślała, że tak miało być i wszyscy bawili się doskonale. Na koniec występu udało się nam bezbłędnie zaśpiewać wspólną piosenkę i pianista był zachwycony. Dostaliśmy bardzo dużo oklasków.

Na drugą część wakacji pojechałam z mamą nad Morze Bałtyckie. To było moje marzenie. Najwięcej czasu spędzałyśmy na plaży, chociaż pogoda była niezbyt ciepła. Mama zamoczyła tylko stopy w wodzie i od razu trzęsa się z zimna. Leżała tylko na leżaku i okrywała się kocem. Ja uwielbiam się kąpać! Tańczyłam w morskiej wodzie i czułam się jak syrena. Pojechałyśmy też na wydmy, gdzie zapadałam się w piasku. Co wieczór kupowałyśmy sobie lody, słodczyce i jadłyśmy je przed telewizorem.

Z mojej wyprawy do Polski mam dużo zdjęć w historycznych miejscach, z nowo poznanymi przyjaciółmi, mnóstwo wspomnień i... dysk z nagraniem z tego zwariowanego i śmiesznego przedstawienia. Nigdy nie zapomnę szalonych wakacji w 2019 roku.

Olivia Ciesińska, *Szukaj Cienia*

Wieczór nadchodził coraz szybciej. Rzeka wartko płynęła. Wiatr szumiał, a wilki wyły. Właśnie wilki są tu najważniejsze. Właśnie wilki... W okolicy Lasów Iglastych jedną z jaskiń zamieszkiwała niewielka wataha. Dowodził nią czarny wilczur, którego bursztynowe oczy świeciły w nocy. Nazywał się Cień i był jednym z najwspanialszych komendantów leśnego królestwa.

Poprzedni dowódca watahy nie umieli poradzić sobie ze wszystkimi obowiązkami. Innymi słowy, w porównaniu do Cienia, nie potrafili wykarmić watahy i jednocześnie zajmować się własnymi sprawami. Wataha to dom. Wataha to rodzina. Wataha jest na pierwszym miejscu. Dlatego każdą możliwą chwilę Cień spędzał na polowaniu, przemowach i opiece nad słabszymi. Dowódca mógłby rządzić tak jeszcze przez wiele wschodów i zachodów słońca, niestety, nie wiedział, co spotka jego ukochanych towarzyszy.

Dlatego postanowiłam wam to wszystko opowiedzieć.

Nasz odważny dowódca odpoczywał na skale, która była jego legowiskiem. Pozostałe wilki rozmawiały radośnie, dzieląc się najróżniejszymi opowieściami ze stron dalekich i jeszcze dalszych. Wiele takich historii, opowieści i legend znał Szept. Był to wilczur, który nie urodził się w Lasach Iglastych, ale w oddalonych o wiele kilometrów górach przykrytych śniegiem. Jego futro było szarawe, miejscami zupełnie białe i błyszczało w świetle księżyca, który właśnie wschodził. Wyróżniały go oczy o przenikliwym spojrzeniu.

Musicie sobie zapamiętać, że Szept jest równie ważną postacią co Cień. Ja zawsze o tym pamiętam..

Szept właśnie skończył opowiadać historię o orłach swojej przyjaciółce, Gwieździe. Gwiazda była białą wilczycą o niebieskich oczach. Miała spokojny charakter i wyrafinowany gust. *Nie każcie mi wyjaśniać, co to znaczy.*

Wilczyca kiwnęła głową do przyjaciela. Szept uśmiechnął się do niej i podszedł do Cienia.

– Nasza wataha ma się znakomicie! Do tego Gwiazda będzie mieć wilczątką! – zaszczeakał Szept.

Cień zeskoczył ze swojej skały i podszedł do kompana.

– Cieszę się, że składasz mi codzienne raporty, Szepcie, ale naprawdę sam sobie mogę z tym poradzić – wytłumaczył Cień.

Szept poczuł się niepewnie. Nikt nie powinien podważać mądrości Cienia. Wilk potrafił rozwiązać wiele spraw na swój sposób, rzadko wdawał się w walki, gdyż wszystko rozwiązywał pokojowo. Szept uklonił się lekko przed Cieniem i odszedł.

Zrobiło się zupełnie ciemno i nadeszła noc. Szept podsunął jeszcze Gwieździe mały posiłek, który zjadła szybko, ale z wdziękiem. Wilczyca podziękowała i zasnęła. Szept zaś nie wyruszał w magiczne, senne podróże, on miał inne rzeczy do roboty.

Nadchodziła godzina wilków. Cień stanął na skale i zawołał głośno:

– Szept, Pazur i Błysk, tak jak zawsze idziecie zbadać teren!

Szept radośnie podbiegł do przyjaciół i tylko czekał na znak dowódcy.

Cień nazywał tę dyscyplinę ZT – Zawodami Tropicielskimi. Chodziło w nich o to, aby wyznaczone wilki sprawdzały w nocy, czy nie dzieje się nic podejrzanego. Szept nazywał siebie i swoich przyjaciół Brygadą Nocną, a ponieważ jego i Cienia łączyła braterska więź, Szept mógł sobie pozwolić na dowodzenie brygadą. Cień zawył głośno, a Szept jak szalony

wbiegł w las. Tuż za nim pobiegli inni. Wilk pędził, uwielbiał, jak wiatr wiał mu prosto w futro. Szept zawył głośno i radośnie.

– Pazurze! Pobiegnij na północ, a ty Błysku, skieruj się w stronę wschodu, ja pobiegnę na zachód – wydał rozkaz szary wilczur. – Spotkamy się przy rzece!

Tak się składa, że nieważne w którą stronę by się pobiegło, to po jakimś czasie dotarłoby się do rzeki. Takie już były Lasy Iglaste. Przyjaciele rozdzielili się. Szept nie mógłby zaprzeczyć, że uwielbiał te tereny. Dlatego zawsze biegł na zachód.

Ja to wiem i teraz wy również.

Zawody Tropicielskie trwały w najlepsze. Z zamyślenia wyrwał Szepta cichy warkot. Spojrzał na tajemnicze krzaki. Warkot się powtórzył.

- Kto to? Czy to znowu te denerwujące wiewiórki? Nie, wiewiórki nie warczą-pomyślał.

Tak się składa, że właśnie tutaj miał kiedyś miejsce pewien incydent z wiewiórkami. Rude stworzenia rzucały w wilki orzechami, póki Cień nie przemówił im do rozumu.

Nagle z krzaków wyskoczył wilk. Nie! Nie! To nie był jeden wilk, bo po chwili wyskoczyły kolejne, a było ich razem dziewięć. Ich futra były poszarpane i poplamione błotem. Łatwo było się domyślić, że tę watahę spotkała burza z piorunami. Szept niepewnie spojrzał na grupkę obcych. Wiedział, że właśnie teraz przydałby się dowódca. Wilk brał udział w Zawodach Tropicielskich co najmniej dwa lata, ale jeszcze nie spotkał się z czymś takim.

– Witam – zaczął niepewnie.– Potrzebujecie czegoś? – zapytał nieco ostrzejszym tonem. Największy z wilków, ciemnoszary wilczur z czerwonymi oczami, wyskoczył przed pozostałe.

– Przejmujemy ten teren – warknął.

Szept poczuł, jak świat się mu zawalił. Przez chwilę nie mógł nic powiedzieć i przerażony spojrzał na Wyrzutków. Tak właśnie postanowił ich nazwać – Wyrzutkami albo Plemieniem Wyrzutków.

– Jak to? – powiedział ze wściekłością i dopiero po chwili przypomniał sobie o szlachetności i spokoju.

– Znaczący... Nie ma powodu do złości, przyprowadzę tu naszego dowódcę i porozmawiamy – wyjąkał grzeczniej Szept.

– Byle szybko – warknął dowódca Plemienia Wyrzutków.

Wy też możecie go tak nazywać.

Pazur i Błysk biegli za nim. Po chwili dotarli do obozu. Przerażony Szept zbliżył się do Cienia.

– Co się stało? – zapytał.

Szary wilczur westchnął ciężko i spojrzał na dowódcę. „Cień był tak mądry, że potrafił odgadnąć wszystko”- pomyślał Szept.

– Chcą nas wypędzić! Musimy walczyć i ratować nasz teren. Lasy Iglaste muszą pozostać najradośniejszym miejscem na ziemi, na zawsze! – wołał szary wilczur.

Dowódca watahy spojrzał na niego swoimi bursztynowymi oczami. Widać w nich było opanowanie. Pazur i Błysk zerknęli na siebie niepewnie.

– Musicie zachować spokój i jak już od wielu lat mówiłem, wspominałem i ogłaszałem, walki są zbędne! Nie mam zamiaru was narażać. Zachowałeś się bezmyślnie – tymi słowami zwrócił się do Szepta. – Cieszę się, że chociaż nie walczyliście. Musimy sobie to wszystko wytłumaczyć. Zamierzam rozwiązać tę kwestię pokojowo, tak jak rozwiązałem wszystkie wcześniejsze problemy – zakończył Cień.

Szept poczuł wstyd. Jak on mógł tak obrazić dowódcę! Żaden wilk nie odważyłby się czegoś takiego powiedzieć. Szary wilczur przeprosił. Dowódca watahy zrozumiał.

– Jagodo, Wietrze, pójdziecie ze mną i Szeptem w stronę zachodu? – zapytał dowódca.

To właśnie wyróżniało Cienia, nigdy nie kazał czegoś robić na siłę. Jagoda, piękna wilczyca i Wiatr, delikatnie rudawy rozbójnik, wyrazili zgodę.

Szept pobiegł za nimi. Po chwili wszyscy byli na miejscu. Dowódca Plemienia Wyrzutków czekał. Pozostałe wilki nie były tak cierplive, jak on i wyły głośno do księżyca.

Możliwe, że kiedy spokojnie spałeś i nagle usłyszałeś wycie wilków, to usłyszałeś właśnie TE wilki.

Cień podszedł do dowódcy i spojrzał na niego przychylnie.

– Co was tu sprowadza? – zapytał jak zawsze delikatnym głosem.

– Jestem Płomień. Moja wataha potrzebuje nowego domu, więc postanowiłem zająć ten las. To wszystko, co powinieneś wiedzieć – rzekł z pogardą. Cień nie odpowiedział.

Szept wiedział, co się dzieje. „Z tym przeciwnikiem chyba się nie dogadamy. Plemię Wyrzutków to groźne bestie. Bardzo groźne. Czyżby jedyną opcją była wojna? Nie! Jest nadzieja! Zawsze była nadzieja! Zawsze będzie nadzieja!”- te słowa chodziły Szeptowi po głowie.

To były dobre słowa. Ja o tym wiem i ty też o tym wiesz.

Cień ciężko westchnął i powiedział:

– Jestem Cień i jestem dowódcą watahy z tego lasu. Czy jest coś, co mogę dla ciebie zrobić? Płomień zdziwił się. Dowódcy wyraźnie nie podobało się to, że Cień jest dalej tak miły, przecież to... to... to... obrzydliwe.

– Możesz stąd odejść? – zapytał.

W odpowiedzi Cień kiwnął głową. Płomień spojrzał na niego groźnie.

Szept postanowił się włączyć do rozmowy, choć wiedział, że gorzko tego pożałuje.

– Przyjdziemy w to samo miejsce jutro! – zawołał.

Cień popatrzył na niego. Jagoda i Wiatr wzięli głęboki oddech. Niespodziewanie Płomień wyraził zgodę i odszedł.

Las wyglądał majestatycznie. Wielkie iglaste drzewa kiwały się leciutko. One słuchały wiatru, tak jak ja słucham mamy, no i siebie... Ptaki cicho podśpiewywały, oczywiście do melodii wiatru.

Wilki dotarły do obozu. Cień wskoczył na skałę i opowiedział o niedawnych wydarzeniach powoli i wyraźnie. Gwiazda była przerażona i wcale się z tym nie kryła. Wataha poczuła, że grozi jej niebezpieczeństwo ze strony Plemienia Wyrzutków, bo nazwa nadana przez Cienia została zaakceptowana przez wszystkich.

Sama się tego spodziewałam. Wcale nie byłam zaskoczona.

Pazur i Błysk byli zdeterminowani. Chcieli wyruszyć. Chcieli walczyć. Chcieli gryźć. A Cień znów tłumaczył, że spokój, że nadzieja, że wojna jest zbędna... Po debacie Cień wezwał Szepta do swojej kwatery.

– Wykazałeś się wielką odwagą – zaczął. – Płomieniowi spodobały się twoje słowa – mówił dalej czarny wilczur. – Zastanawiałem się, co zrobić... Mam pewien plan.

Szept podziękował dowódcy i wrócił do towarzyszy. Chyba był zadowolony.

Tak sądzę. Wy pewnie też...

Słońce wschodziło, gdy wilki postanowiły się zdrzemnąć. Cień zaś spojrzał prosto na złotą kulę. Był ciekaw, co przyniesie nowy dzień.

Ja też tak mam. Wy również...

Jak się później okazało, kolejne spotkanie przyniosło bardzo ważne ustalenia. Cień rozmawiał z Płomieniem dość długo. Kiedy czarny wilczur przedstawił swoje warunki, Płomień zaprezentował swoje. Co ciekawe, zabrał ze sobą watahę. Szept przyglądał się Cieniowi. Brakowało mu jego cierpliwości. Oj, brakowało... Nasz dowódca potrafi rozwiązać każdy spór. „Dlaczego ja tego nie umiem?!” – zastanawiał się.

– To tyle... Postanowiłem zrobić coś, co będzie dla nas wszystkich odpowiednie. Odejdę z lasu, a Plemię Wyrzutków opuści Lasy Iglaste – rzekł ze smutkiem Cień do swojej watahy. Przerażony Szept nie rozumiał, co miałyby to dać. Gwiazda, Jagoda, Wiatr, Pazur i Błysk wymieniali ze sobą niepewne spojrzenia. Nagle Płomień przysiadł na ziemi. „Co on robi?” – pomyślał Szept. Wtedy wilk zrozumiał, ale było za późno. Płomień odbił się od ziemi. Był gotowy do skoku.

– Nie!!!!!!!

Szary wilk zatrzymał swojego dowódcę. Stało się coś, czego nikt się nie spodziewał. Okazało się, że każdy może się zmienić, bo jest nadzieja, bo była nadzieja, bo będzie nadzieja.

Szept odetchnął spokojniej. Nagle Cień odezwał się zdecydowanym głosem:

– Odejdę.

– Skąd wiemy, że nas nie zdradzą? – warknął Pazur.

Cień podszedł do niego powoli.

– Złożyłem Prawdziwą Przysięgę.

Szept był przerażony. Prawdziwej Przysięgi nie można złamać. Cień mógł udać się jedynie w stronę Gór Śnieżnych. Tam urodził się Szept. Tam mieszkali najstarsi z członków watahy. Tam był spokój, ale tam nie było NAS. Szept drżał z żalu i wściekłości.

– Pokazałeś, że nadajesz się na komendanta, Szepcie – zaczął Cień. – Wykazałeś się szlachetnością. Jestem z ciebie dumny, dlatego to ty zostaniesz dowódcą watahy. A kiedy nadejdzie twój czas, spotkamy się na szlaku Gór Śnieżnych – wyjaśniał.

Czarny wilk zawył najgłośniejszym głosem, jak potrafił i zniknął pomiędzy drzewami Lasu Iglastego. Szept zaczął skowytać cicho, a później zawył. I wył, i wył, a z nim wyli inni. Nawet Plemię Wyrzutków zawyło na cześć Cienia. Wściekły Płomień uciekł w stronę leszczynowego zagajnika. Podobno do dzisiaj błąka się po lasach. Próbuje odnaleźć Cienia.

Ja wiem i wy wiecie, że nigdy mu się to nie uda.

Szept dobrze rządził, chociaż niekiedy brakowało mu cierpliwości. Wilki czuły się z nim bezpiecznie. Gwiazda urodziła puchate wilczątko. Pazur i Błysk dalej brali udział w Zawodach Tropicielskich. Plemię Wyrzutków odeszło z lasu zgodnie z obietnicą.

Ktoś mi mówił, że znaleźli wspaniały dom. Nie mam powodu, żeby mu nie wierzyć. Wy też nie macie. Szept wpatrywał się w niebo. Było granatowe. Był tam Gwiazdozbiór Wilka. Był tam Cień. *Jeśli kiedykolwiek słyszeliście o Gwiazdozbiórze Wilka, teraz już wiecie, co on oznacza.*

Szept spojrzął na puchate wilczątko, które bawiły się razem, ale to już inna historia, dłuższa i ciekawsza, może kiedyś ją wam opowiem...

Oskar Rozwadowski, *Letnia przygoda*

Hurra! Wakacje! Rozpromieniony wybiega ze szkoły i udaje się w stronę parkingu. Dzisiaj zwrócił do biblioteki ostatnie książki i podręczniki. Przed szkołą, w samochodzie czeka na niego tata. Razem pojedą na wieś do babci. Paweł z niecierpliwością wsiada do samochodu i wyruszają w drogę. Babcia mieszka daleko od miasta, więc droga jest długa i Paweł zaczyna opowiadać tacie przygodę, która spotkała go w ubiegłym roku podczas odpoczynku u babci na wsi.

Pewnego dnia Paweł ze swoimi kolegami Markiem i Tomkiem postanowili wybrać się do lasu na przejażdżkę rowerami. W lesie było mnóstwo ścieżek, więc chłopcy długo jeździli, aż się zmęczyli. Postanowili więc usiąść sobie na skraju lasu i odpocząć. Paweł bardzo lubił obserwować dziką przyrodę. Gdy stanęli na odpoczynek, Paweł rozglądał się dookoła. Nieopodal zobaczył niezwykle drzewo. Z pnia jednego drzewa rosły aż trzy grube i rozgałęzione konary lipy. Paweł wpadł na ciekawy pomysł i zaproponował kolegom sporządzić domek na tym ciekawym drzewie. Markowi i Tomkowi spodobała się ta propozycja i wszyscy razem wzięli się do roboty. Najpierw postanowili nabrać drewna, z którego będą robić ściany. Każdy z chłopców udał się w inną stronę na poszukiwanie budulca. Paweł bardzo szybko znalazł pasującą belkę i podniósł ją, by zanieść pod lipę. Gdy uniósł tę kłodę, zauważył że mech, gdzie ona leżała, błyszczy. Chłopiec podszedł bliżej, by zobaczyć, co tak błyszczy. Była to butelka. Paweł postanowił sprzątnąć ją z lasu i zaniósł ją pod lipę. Czekali już tam na niego koledzy. Zdziwili się, po co Paweł przyniósł butelkę i zaczęli ją oglądać. Nagle ujrzeli, że w butelce leży kartka. Paweł ostrożnie wyciągnął arkusz i go rozłożył. Okazało się, że nie była to zwykła kartka, a mapa lasu, w którym się znajdowali. Pewne miejsce na tej mapie było zaznaczone krzyżykiem. Z przeczytanych książek i obejrzanych filmów chłopcom było wiadome, że krzyżykiem na mapie zazwyczaj zaznacza się miejsce, gdzie leży skarb. Z wielkim zaciekawieniem i niecierpliwością chłopcy udali się na poszukiwanie tego miejsca. Przyszli oni pod olbrzymi, stary dąb. Paweł postanowił zbadać ziemię dookoła dębu i zauważył, że z jednej strony jest ona bardziej miękka. Zawołał on Marka i Tomka. Wszyscy razem zaczęli kopać. Gdy odkopali sporo ziemi, natknęli się na coś twardego, co przypominało drzwi. We trójkę próbowali je otworzyć, ale się nie udało. Usiedli więc pod dębem i myśleli, co robić dalej. Tak siedząc zauważyli, że nastał wieczór. Postanowili więc wracać do domu, a jutro znowu spotkać się pod dębem.

Po powrocie do domu Paweł stale myślał, jak otworzyć tajemnicze drzwi. Już leżąc w łóżku wpadł na pomysł, że może mu w tym pomóc babci pies Bingo. Był to młody i silny wilczur, który uwielbiał przygody. Następnego dnia po śniadaniu Paweł wziął psa i razem udali się do lasu. Marek z Tomkiem już byli przy dębie. Chłopcy przywiązali smycz Bingiego do tajemniczych drzwi i wilczur zaczął je ciągnąć. Z trudem i zgrzytem stare drzwi się otworzyły. Chłopcy zobaczyli, że otworzył się przed nimi tunel, który prowadził wprost pod dąb. Ostrożnie zaczęli wchodzić do tego tunelu. Było im strasznie i jednocześnie ciekawie. A najważniejsze, że spodziewali się znaleźć skarb! I oto w samym końcu, pod grubym korzeniem ujrzeni skrzynkę. Paweł poszedł na przód i wziął ją do rąk. Gdy postanowili wracać, z głośnym hukiem nad ich głową zamknęły się drzwi. Chłopcy bardzo się przestraszyli, bo raptem zrobiło się ciemno niby w nocy. Ostrożnie zaczęli wspinać się krok po kroku. Nagle drzwi znowu się otworzyły. Koledzy odetchnęli z ulgą i już w lepszym nastroju skierowali się do wyjścia. Aż tu nagle drzwi znowu się zatrzęsły! Znowu zrobiło się ciemno i strasznie. Nie było widać, dokąd iść. Gdy próbowali odnaleźć drogę, drzwi znowu się otworzyły. Chłopcy czym prędzej pobiegli do wyjścia. Paweł przy tym starał się nie zgubić skrzynki ze skarbem.

Gdy wyszli z tunelu, zrozumieli, co się działo z drzwiami. Otóż zaciekawieni niezwykle odkryciem, chłopcy w pośpiechu udali się na zwiady i zapomnieli, że Bingo został smyczą przywiązany do drzwi. Dopóki chłopcy szukali skarbu, Bingo nie mógł ustać na miejscu i biegał dookoła, co spowodowało otwieranie i zamykanie drzwi. Paweł z kolegami długo się śmiali z własnego strachu, który sprawił im wilczur. Następnie postanowili otworzyć znaną skrzynię. Chłopcy z dużym zaciekawieniem badali zawartość skrzynki. Był tam notes, w którym starannie były wklejone wkładki – obrazki z gum do żucia. Przedstawiały one samochody. Chłopcy długo oglądali ten notes, kolekcja składała się ze stu pięćdziesięciu obrazków. Cały zestaw! A więc nie tylko bogactwa mogą być skarbem! Chłopcy postanowili nie zabierać tego skarbu i zanieśli go z powrotem.

Na tym Paweł zakończył swoje opowiadanie, a tata słuchał go z wielkim zaciekawieniem. Nagle tata zapytał, czy Paweł potrafiłby zaprowadzić go w to tajemnicze miejsce, pod dąb. Paweł bardzo się ucieszył, że tata się zaciekawiał i obiecał mu pokazać drogę.

Gdy przyjechali do babci, od razu udali się do lasu na poszukiwanie skarbu. Paweł najpierw trochę zbłądził, ale potem odnalazł dąb, pod którym był skarb. Razem z tatą otworzyli drzwi i weszli do tunelu. Następnie odnaleźli skrzynkę i wynieśli ją na zewnątrz. W skrzynce był nadal ten sam notes z obrazkami. Tata uważnie mu się przyglądał, a potem

zapytał Pawła, czy nie zauważył w notesie niczego znajomego. Paweł jeszcze raz zaczął uważnie przewracać kartki. Na ostatniej kartce zobaczył napis: Adam Sikorski. Paweł miał duże oczy ze zdumienia. Adam Sikorski! Przecież to jego tata jest Adamem Sikorskim. Czyżby ten skarb należał do niego?!

Wieczorem, podczas kolacji, tata opowiedział Pawłowi, jak w dzieciństwie zbierał tę kolekcję. Marzeniem taty było zebrać cały zestaw. W ciągu kilku lat udało mu się to zrobić. Gdy miał już wszystkie obrazki, postanowił wkleić je do notesu i schować w bezpiecznym miejscu. Długo kopał i umacniał tunel pod dębem, aż w końcu był bezpieczny. Wtedy tata położył swój skarb do skrzynki i schował pod ziemią. Każdego dnia chodził sprawdzać, czy skarb jest na miejscu. Mijały lata i tata wydorósł. Nie ciekawił go już ten skarb, więc postanowił przekazać go komuś innemu. Narysował mapę, włożył do butelki, a butelkę schował w lesie. Przez długie lata nikt nie odnalazł butelki ani skarbu. Aż tu Paweł przypadkowo się na nie natknął. Teraz już Paweł dokładnie wiedział, że ten skarb należy do niego. Przez cały wieczór oglądał notes i podziwiał obrazki – wkładki z samochodami. W końcu zdecydował, że postąpi tak, jak kiedyś tata. Też schowa w bezpiecznym miejscu skrzynkę z notesem, narysuje mapę, włoży ją do butelki i schowa w lesie pod mchem. Może ktoś inny odnajdzie jego skarb...

Opowiedział o swojej decyzji. Tacie pomysł się spodobał. zaproponował jeszcze, żeby w końcu notesu Paweł też wpisał swoje imię i nazwisko, żeby temu, kto znajdzie, było wiadomo, czyj jest ten skarb. Długo jeszcze tata z synem dzielili się wrażeniami aż w końcu ojciec zapytał:

- A co z domkiem?

- Z jakim domkiem? – zdziwił się Paweł.

- Mam na to całe wakacje!

Karina Tomaszewska, *Nie bez przyczyny przecież*

Gdzieś na dnie żyją sobie stworzenia takie jak ja. Jestem rybą, a dokładnie karasiem i mam na imię Chlupek, ponieważ uwielbiam chlapać na wędkarzy. Nie wiem, ile mam lat i raczej nie bardzo kojarzę, czym jest czas. My, ryby, nie liczymy dni, miesięcy i tak dalej. Po prostu żyjemy pełnią życia, bo nie wiemy, kiedy zostaniemy złowione albo pożarte przez jakiegoś większe ryby. Trochę to przerażające, jednak nie podchodzimy do tego tak poważnie, tylko traktujemy to, jak zabawę.

Mam na imię Maciek i dzisiaj kończę dziesięć lat. Moja mama pracuje w wielkiej firmie, jest asystentką dyrektora. Przez to ciągle gdzieś na długo wyjeżdża. Ojciec, można powiedzieć, że chwilowo nie pracuje, został zwolniony z uczelni rok temu. Ciągle mówi, że już prawie znalazł pracę. Ale ja wiem, że to wcale nie jest takie proste i mówi tak, żebym się nie martwił. Zwłaszcza że ojciec jedynie zna się na rybach. Jest ichtiologiem. Teraz są wakacje, więc tata, zgodnie z tradycją, zabierze mnie na ryby. Może, kiedy znajdzie swoją wymarzoną pracę, to kiedyś wyjedziemy daleko i zobaczą ocean... To jest moje największe marzenie! Niestety, akurat dzisiaj mama wyjechała na służbowe spotkanie i wróci wieczorem, więc nad nasze małe jezioro pojedziemy sami. Lubię te nasze wspólne wędkarskie wyprawy. Zwłaszcza latem.

Wiele razy widziałem ludzi i zastanawiałem się, jak to jest być takim stworzeniem na dwóch nogach! Zawsze chciałem zobaczyć ich z bliska, dotknąć płetwą, ale strach był silniejszy. Wypowiedziałem nawet podczas pełni księżyca takie życzenie, by kiedyś spojrzeć człowiekowi prosto w oczy. Widziałem kiedyś, jak szczupak, Edward, stary doświadczony wyga, tak zrobił. Wskoczył z wody, zatańczył na ogonie, spojrzął człowiekowi w oczy, po czym zerwał się z haczyka i zanurkował. O tej niesamowitej, bohaterskiej historii opowiadały potem długo małże i podwodne ślimaki. Wszyscy chcieli być jak Edward. Przeżyć najpiękniejszą przygodę w swoim życiu i zostać podwodnym idolem.

Najpierw poszliśmy do sklepu wędkarskiego i kupiliśmy: zanęty, haczyki, żyłki, spławiki oraz kukurydzą. Myślałem, że to już koniec i idziemy płacić, a wtedy tata zobaczył nowe, różowe kulki o zapachu malinowo-truskawkowym. A na dodatek powiedział, że kupi mi nową wędkę i kołowrotek. Strasznie się z tego prezentu ucieszyłem.

Dojechaliśmy nad jezioro, zatrzymaliśmy się na bocznej szutrowej drodze, resztę trasy musieliśmy przejść pieszo. Gdy doszliśmy, tata rozstawił fotele i już miał wyjąć wędki, gdy zapytałem, czy możemy iść na łódkę. Najpierw zrobił się trochę czerwony, bo nie cierpi rozkładać i składać tych foteli. Ale potem uspokoił się i próbował je złożyć. W końcu to były moje urodziny. Po piętnastu minutach, z moją pomocą, udało się, a tata wygłosił swoje ulubione zdanie.

- Pamiętaj synu, nic nie dzieje się bez przyczyny. Może jeszcze tego nie wiemy, ale po coś to się dzieje i coś z tego wyniknie.

Aż dziwne, że nie powiedział „wypłynie” zamiast „wyniknie”. Poza tym, nigdy nie rozumiałem, co to jest to „coś” w tym zdaniu. W każdym razie wypłynęliśmy, wyjęliśmy

wędki, wrzuciliśmy zanętę do wody, a następnie tata założył swoją nową, różową kulkę o zapachu malinowo-truskawkowym na haczyk i zarzucił. Ja w sumie zrobiłem to samo, powtarzając pod nosem mimowolnie: nic nie dzieje się bez przyczyny, nic, a nic...

- O! Akurat są jacyś dwaj wędkarze na łódce, duży i mały. Zabawimy się z nimi! Kto podejmie wyzwanie, no kto?!- krzyknął Felek, mój starszy brat, jeden z trzystu moich braci.

Podpłynąłem razem z nimi i innymi rybami bliżej łódki, żeby się lepiej przyjrzeć. Jak to jest być takim stworzeniem na dwóch wyrostkach? Fascynowali mnie... A Felek rozkręcał zabawę. Wypuszczał ustami bańki i rozbijał je ogonem.

Tata, jak zawsze, uczył mnie, jak mam łowić, mówił mniej więcej tak:

- Synu, jak chcesz złowić pokaźną rybę, musisz mieć dobry sprzęt i zanętę. Jak myślisz, po co kupuję kolorowe kulki? Bo wtedy bierze duża ryba. Nic nie dzieje się bez przyczyny! Tylko wędkarz z dobrą zanętą ma szansę coś złowić. I pamiętaj jeszcze jedno, ryby są niemądre i łatwo się nabierają na takie wykwentne kulki na haczyku.

Po tym ojcowskim monologu czekaliśmy w ciszy na branie, a ja myślałem o tym, co robią ryby.

Zabawa rozkręciła się fest. Najedliśmy się do syta, puszczaaliśmy bańki, kręciliśmy się w kółko. Śpiewaliśmy w niebogłosy, lecz nie wiem, czy ktoś nas słyszał. A potem Łuska, taki mój kumpel, krzyknął do mnie:

- Hej! Chlupek! Prawda czy wyzwanie?

- Wyzwanie!- odkrzyknąłem spontanicznie.

- Musisz zjeść tę obrzydliwą, różową kulkę na haczyku!

- Dobra, przyjmuję wyzwanie!- odkrzyknąłem wesoło niewiele się nad tym zastanawiając, bo przecież ryby mają bardzo niewielkie rozumki.

Rozpędziłem się i CHAPS! Zjadłem to okropieństwo! Już miałem triumfalnie odpłynąć, kiedy zorientowałem się, że... zaczepiłem się o hak!

- Na pomoc! Ratunku! – wołałem przerażony.

Jednak kumple mi nie pomogli, wszyscy uciekli.

Tata zaciął rybę. Długo gięła mu wędkę, aż ostatecznie wylądowała w podbieraku. Przepiękny, złoty karaś.

-Patrz synu! A nie mówiłem! Nic nie dzieje się bez przyczyny. Moja wspaniała różowa kulka i.... jest! Ale piękny, ale okazały! Daj szybko miarkę, to będzie rekordowy okaz!- mówił podekscytowanym głosem tata.

- Tak, tato, to naprawdę ekstra ryba! Zrobię jej też fotkę i wrzucę na twojego facebooka. Jest się czym pochwalić!- cieszyłem się razem z nim.

Tata trzymał rybę, pozując z nią do zdjęcia, a ja cykałem i udostępniałem fotki. Spojrzałem jej w oczy. Była rzeczywiście piękna. Patrzyła, jakby rozumiała, co się teraz dzieje. Przyszło mi w tej samej chwili na myśl, a co, jeśli to moja złota rybka, która spełnia życzenia?

-Tato, ona jest cudowna, ale wypuścimy ją. Sam przecież zawsze mi powtarzasz, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Może ta ryba... Nieważne, dziś są moje urodziny, więc chciałbym ją wypuścić.- powiedziałem stanowczo.

Ojciec spojrzał na mnie z lekka zaskoczony, po czym uśmiechnął się i powiedział:

- Po coś to się dzieje. Jeszcze nie wiemy po co, ale po coś. – i zanurzył ręce w wodzie. Obaj patrzyliśmy, jak złota rybka znika w głębinie.

To było jak sen. Nie wiem, ile to trwało, bo nie znam się na czasie i już to mówiłem. Ale spojrzałem mu w oczy. Okrągłe, w kolorze mojego ogona. Łapałem szaleńczo oddech, ale nie mogłem przestać patrzeć. Moje marzenie właśnie się spełniło. Bo przecież tak jak kiedyś Edward wyskoczyłem z wody, dotknąłem człowieka i spojrzałem mu w oczy. Nie dbałem już o to, co będzie dalej. A potem, ku mojemu zdziwieniu, poczułem, że znowu jestem w wodzie. Machnąłem płetwą i odpłynąłem. Byłem szczęśliwy, bo teraz to o mnie małże będą śpiewać, a ślimaki wodne snuć bohaterские historie.

-Brachu, ale z ciebie wielka ryba! Normalnie nasz idol! Musimy to uczcić!- zawołał Felek , pojawiając się nie wiadomo skąd.

I nagle wokół mnie zabulgotało, a setka moich braci zaśpiewała na moją cześć. Nie bez przyczyny przecież!

Tata skończył rozmowę i odłożył telefon na półkę samochodu. Byliśmy już spakowani i wracaliśmy do domu po udanym wędkowaniu.

- Wiesz, synu, może to nudne, co powiem, ale nic...

- Nie dzieje się bez przyczyny? – dokończyłem za ojca zdanie.

- Tak, to ciekawe. I po coś to się dzieje... Te zdjęcia, które dziś zrobiłeś i udostępniłeś... Dzwonił dyrektor oceanarium... szukają nie tylko fachowców, ale też pasjonatów...- przerwał na chwilę i spojrzał na mnie rozpromieniony.

- Widzieli te zdjęcia, chcą ze mną nawiązać współpracę. Mam pracę! Jedziemy nad ocean! Wracajmy do domu. Mama już pewnie wróciła... i twoje przyjęcie urodzinowe... mamy tyle do świętowania...

I wtedy dopiero to zrozumiałem! Odkryłem, czym jest to „coś” w powiedzeniu ojca. To „coś” - magiczne słowo, które za każdym razem może oznaczać co innego. Raz różową kulkę taty, którą założył na hak. Nie bez przyczyny przecież! Raz złotą rybkę, która, wierzącie lub nie, spełniła moje marzenie- wyjazd nad ocean - nie bez przyczyny przecież! A raz, ha, ha, szczęśliwą rybkę, która ostatecznie wylądowała w wodzie. Też nie bez przyczyny przecież!

Anna Złotkowska, Aniol z rudym ogonem

Był ciepły, majowy dzień. Słoneczna pogoda sprawiła, że rodzice wyrażali zgodę na otwieranie domowych drzwi prowadzących wprost na podwórko. Dziesięcioletnia Basia bardzo lubiła, gdy śpiew ptaków i zapach wiosny, a właściwie już lata, docierał do wnętrza domu. Była sobota i dziewczynka nigdzie nie musiała wychodzić, postanowiła dłużej wylegiwać się w łóżku, czytając ulubioną książkę o zwierzętach. To była jej pasja – poznawanie świata przyrody, zwyczajów zwierząt i ich tajemnic. Do tej pory w sobotnie poranki miała jeszcze inne zajęcie – musiała sprzątać klatkę swoich ulubienic – świnek morskich. Niestety, niedawno umarły – najpierw zachorowała jedna, a wkrótce po niej druga. Niektórzy dorośli mówili, że świnki „zdechły”, ale ona bardzo nie lubiła tego słowa – było takie rażące i niemal wulgarne. Wołała myśleć, że świnki odeszły – przeniosły się na zielone łąki, gdzie mogły beztrudnie biegać i sycić ulubioną trawkę. Kilka nocy Basia płakała, ale powoli zaczynała się godzić z ich utratą. Rodzice zachęcali ją do zainteresowania się innym zwierzątkiem, lecz ona czuła, że to nie był dobry pomysł.

Korzystając z wolnej chwili, postanowiła zająć się czytaniem. Dobrze, że jej młodsza siostra, Melcia, jeszcze spała, więc dziewczynka mogła się poświęcić lekturze w zupełnej ciszy.

- A co to jest?! - nagle zabrzmiał donośny głos taty. - Kto zajął mój fotel?!

- A to ciekawe – pomyślała Basia – Melcia śpi, ja jestem tutaj, mama poszła do sklepu, więc niby kto mógłby zająć ulubiony fotel taty?

Dziewczynka, zaciekawiona, szybko wyskoczyła z łóżka i na paluszkach podeszła do drzwi gabinetu taty. A tam ... na jego ulubionym fotelu siedział KOT! Wielki, rudy sierściuch, który z zaciekawieniem, lecz bez cienia strachu, wpatrywał się w stojącego przed nim tatę.

- Jak tu wszedł? - pomyślała dziewczynka – ach, to oczywiste, przecież drzwi domu wychodzące w stronę podwórka były teraz otwarte.

Basia nie mogła dłużej się powstrzymać i weszła do pokoju. Kucnęła przy fotelu, na którym z dumą siedział rudy kot.

- Skąd się tu wzięłeś, rudasku? - zapytała łagodnie i wyciągnęła rękę, by pogłaskać miłego gościa, który w odpowiedzi zaczął wydawać pomruki zadowolenia.

- A mówiłem, żeby nie zostawiać drzwi otwartych – powiedział tata niby ze złością, ale tak naprawdę już zauroczony przybyszem. Ten zmrużył swoje bursztynowe oczy, umieścił się wygodnie w fotelu i chyba zamierzał uciąć sobie dłuższą drzemkę.

- No dobrze, kocie. Ja teraz zjem śniadanie, a gdy wrócę, to ma cię tutaj nie być, zrozumiano?

- zwrócił się tata do kota surowym tonem. Ten jednak nie raczył odpowiedzieć. Spał w najlepsze.

Takie to właśnie były początki rudego kota w domu Basi - sam wybrał sobie dom i rodzinę, z którą zamieszkał. Tata często powtarzał, że przypomina mu czarodziejskiego kota. Faktycznie, biały pyszczek z rudymi piegami nasuwał skojarzenie z baśniowym, futrzastym czworonogiem, a jego manieri i powaga sprawiały, że bardzo wyróżniał się na tle innych osobników tego gatunku. Poza tym był większy niż inne koty, mocniej zbudowany i poruszał się niczym prawdziwy tygrys. Początkowo nadaliśmy mu imię Rudi, jednak z czasem, gdy okazało się, jakim jest niesamowitym i wyjątkowym stworzeniem, otrzymał poważnie brzmiące imię - Rudolf. A to, co wyczyniał, naprawdę było wyjątkowe.

Bardzo szybko wprowadził swój nowy zwyczaj wchodzenia do domu uchylonym oknem. Zmęczony bieganiem wskakiwał na parapet i cierpliwie czekał, aż ktoś mu je otworzy. Jeśli zdarzyło się, że okno było zasłonięte roletą, wówczas szukał takiego, przez które mógł być najszybciej zauważony. Z niebywałą cierpliwością oczekiwał na jedzenie, natomiast nigdy nie chciał pić wody z miseczki, gdyż najsmaczniejsza dla niego była woda ... z kałuży.

Codziennie rano, od poniedziałku do piątku, od września do czerwca, Rudolf był dyżurnym opiekunem dzieci w drodze do szkoły. Wychodził rano z Basią, jej siostrą i mamą. Szedł z nimi do pobliskiej szkoły podstawowej, gdzie witany był zawsze z uśmiechem przez

wszystkie panie woźne, po czym na dalszą część przedpołudnia miał do wyboru dwie opcje: mógł wracać do domu na ramieniu mamy, czy też drzemać w oczekiwaniu na dziewczynki. Druga sytuacja była o wiele korzystniejsza, gdyż panie kucharki, które darzyły Rudolfa wielką sympatią, wynosiły mu smaczne kąski ze szkolnej stołówki. Wszyscy, którzy widzieli rudego kota czuwającego przed szkołą, dostrzegali w nim cechy wiernego psa.

Rudolf z takim samym oddaniem czekał na swoich opiekunów przed kościołem (rozweselając tym proboszcza) czy przed osiedlowym sklepikiem, gdzie częstowany był wybornymi smakołykami. Swą wierność udowodnił pewnego mroźnego, styczniowego dnia. Był to pierwszy dzień ferii zimowych. Basia z Melcią wyjeżdżały do babci. Tata w towarzystwie nieodłącznego Rudolfa, odprowadził swoje dziewczyny na przystanek autobusowy, po czym ruszył do pracy. Jakież było jego zdumienie, gdy wracając wieczorem, zobaczył Rudolfa tkwiącego w tym samym miejscu! Mimo zimna, Rudolf przez cały dzień nie opuścił przystanku i nie z powodu utraty pamięci – co to, to nie! Drogę w stronę domu znał doskonale, lecz nie mógł przecież pozwolić na samotny ich powrót. Jednego wiedzieć nie mógł, że wrócą one dopiero za dwa tygodnie, a w dodatku wysiądą na przystanku po przeciwnej stronie ulicy!

Kot był wiernym stróżem i opiekunem również w nocy, gdy spał przytulony na zmianę, to do Basi, to do Melci. Zazwyczaj zasypiał w nogach którejś z sióstr, by potem przytulić się do brzuszka, ręki lub policzka. Mama zawsze z wielkim rozrzewnieniem patrzyła na ten obrazek.

I tak mijał dzień za dniem. Rudolf dzielnie spełniał swe obowiązki, aż do czasu, gdy pewnego, czerwcowego dnia nagle zniknął. Rano odprowadził dzieci do szkoły, po czym przepadł.

Nie wrócił do domu, nie było go też przed szkołą. Cała rodzina kilkakrotnie okrążyła osiedle, nawołując swojego ulubieńca i wypatrując kocich śladów. W domu zapanował smutek, wszyscy martwili się i zastanawiali, co zrobić, by odnaleźć Rudolfa. Najpierw Basia napisała ogłoszenie z jego zdjęciem i po skopiowaniu w kilkudziesięciu egzemplarzach rozwiesiła po całej okolicy. Już pierwszego dnia rozdzwonił się telefon. Nieznajomi informowali o pobycie kota. Każdą wiadomość rodzina sprawdzała dokładnie i faktycznie tam, gdzie ich kierowano, udawało się znaleźć jakiegoś futrzanego rudzielca. Niektóre były łudząco podobne do Rudolfa, niestety, żaden z nich nie był nim. Ogłoszenie o zaginięciu ulubieńca zostało nawet zamieszczone w mediach społecznościowych. W końcu Basia pomyślała, że można napisać list do wszystkich sąsiadów na osiedlu. Cała rodzina zgodnie

stwierdziła, że to jest dobry pomysł i wszyscy zabrali się do pracy. Wspólnie przygotowali tekst następującej treści:

„Drodzy Sąsiedzi!

Z pewnością niektórzy z Was znali Rudolfa – rudego kocura, wędrującego z wyprostowanym dumnie ogonem uliczkami naszego osiedla. Uwielbiał odprowadzać dzieci do szkoły i czuł się zobowiązany, by patrolować całe nasze osiedle.

Niestety, zaginął 10 czerwca.

Dlatego zwracamy się do Was z ogromną prośbą o pomoc w odnalezieniu naszego pupilka.

Prosimy o kontakt pod numerem telefonu ...

Wygląd kota: mocna budowa ciała, ruda sierść, na białawym pyszczku delikatne rude piegi, lewe ucho z małym „zębkiem”. Jest bardzo ufny i łagodny. Za odnalezienie Rudolfa przewidziana jest nagroda!”

Basia i Melcia kilka godzin spędziły na roznoszeniu listów do skrzynek bliższych i dalszych sąsiadów. Dzięki temu miały poczucie, że zrobiły wszystko, co możliwe, by odnaleźć przyjaciela. Teraz pozostawało już tylko czekanie – chodzenie po osiedlu i nawoływanie nie miały żadnego sensu, gdyż Rudolf znał dzielnicę jak własny cień.

Minęło siedem długich dni, dni bez kota. Aż nagle, ósmego dnia rano, w sobotę, Rudolf jakby nigdy nic wskoczył na swój „wejściowy” parapet! Mama, jako pierwsza zauważyła puszyste łapki kota i otworzyła dla niego okno. Basia z Melcią przybiegły natychmiast, by tulić i ścisnąć przyjaciela. Radości nie było końca, a kot otrzymał całe mnóstwo ulubionych smakołyków. Przez kolejne dni rodzice Basi odebrali jeszcze wiele telefonów od sąsiadów informujących o pobycie Rudolfa w różnych miejscach i wszyscy szczerze się cieszyli, gdy słyszeli, że odnalazł się cały i zdrowy. Osiedle „odetchnęło z ulgą” – znów miało swojego „stróża”.

Tylko Basia była jakaś smutna. Oczywiście, cieszyła się niezmiernie, że kot w końcu wrócił, lecz nie dawała jej spokoju pewna wiadomość, jaką otrzymała tego samego dnia: „Przepraszam, zrozumiałam, że to było złe”. Wiadomość nie była podpisana, a wysłano ją z zastrzeżonego numeru telefonu. Nie wiedziała, czy ten SMS miał coś wspólnego ze zniknięciem Rudolfa, czy to po prostu pomyłka.

Kilka dni po powrocie ulubieńca, wracała z nim ze szkoły. Szła jak zwykle sama, gdyż większość koleżanek mieszkała na osiedlu po drugiej stronie szkoły. Przyzwyczała się już zresztą do tego i towarzystwo kota w zupełności jej wystarczało.

- Basiu! - nagle usłyszała czyjś głos. Obejrzała się i zobaczyła Julę, koleżankę z klasy, biegnącą z tyłu.

- Zatrzymaj się, chciałam z tobą porozmawiać – zdyszana Jula dotarła do Basi i pochyliła się, by pogłaskać kota. - Tęskniłaś za nim, prawda? - zapytała.

- Tak, bardzo - przytaknęła dziewczynka – a czemu pytasz?

Jula milcząco spuściła głowę.

- Wiem, że możesz być na mnie bardzo zła, ale muszę ci w końcu to powiedzieć: to ja przetrzymywałam Rudolfa ...

- Ty??? - Basia nie mogła uwierzyć w to, co słyszy – Ale jak to? Dlaczego? Po co? To od ciebie była ta wiadomość?! - Basia była tak zaskoczona i wzburzona jednocześnie, że wprost wyrzucała z siebie kolejne pytania.

- Tak, to ja wysłałam „sms” ... Byłam po prostu zazdrosna ...

Basia zdumiała się jeszcze bardziej. Jula była zazdrosna? Jak to możliwe? To przecież właśnie jej wszyscy mieliby czego zazdrościć: mieszkała w pięknym domu, chodziła na lekcje francuskiego, miała własnego kuca w prywatnej stajni i w ogóle dostawała zawsze wszystko to, co tylko chciała, a o czym jej rówieśnicy mogli tylko pomarzyć. O co więc Jula mogła być zazdrosna?- zastanawiała się Basia.

- Dziewczyny z klasy często powtarzają, że z tobą to w ogóle nie da się plotkować – powiedziała Jula – Ale to dobrze - dodała prędko.

- Tak to prawda, nie lubię plotek. Moja mama twierdzi, że plotkowaniem i obmawianiem można kogoś zranić.

- Twoja mama ma rację - przyznała Jula i zamyśliła się na chwilę, po czym powiedziała:

- Wiesz, teraz tak się zastanawiam i nie wiem, o co tak naprawdę byłam zazdrosna... Chyba najbardziej wkurzyło mnie to, że wtedy, w piątek, pani wychowawczynie powiedziała, że to ty będziesz miała najwyższą średnią w klasie ...

- Ale przecież ty masz niezłą średnią! - wykrzyknęła Basia.

- No tak, ale moi rodzice powiedzieli, że jeśli będę najlepszą w klasie, to kupią mi psa, goldena retrievera z prawdziwej hodowli ...

Basia była coraz bardziej zdziwiona.

- Ale wydaje mi się, że nie za bardzo lubisz zwierzęta? - powiedziała w końcu.

- To prawda. A właściwie nie - Jula plątała się coraz bardziej. – Bo ja nawet je lubię, ale nie na tyle, żeby się „jakimś” zajmować, codziennie wyprowadzać na spacer bez względu na pogodę, karmić, i tak dalej. Rozumiesz?

-Nie wiem - przyznała Basia, choć ciężko jej było to pojąć, gdyż dla niej zwierzaki były całym światem: zawsze chętnie się o nie troszczyła, karmiła i wiele czytała na ich temat. Dziewczynka pomyślała jednak, że przecież każdy jest inny i jej koleżanka ma prawo mieć zupełnie inne zainteresowania.

- To właściwie dlaczego chciałaś tego goldena? - spytała z żalem, gdyż sama od dawna marzyła o owczarku border collie, choć wiedziała, że rodziców raczej nigdy nie będzie stać na takiego psa.

- Nie wiesz, bo zazdrościłam ci Rudolfa i tego, że cię odprowadza do szkoły-odpowiedziała Julia.

- I dlatego ukradłaś Rudolfa? - wypaliła Basia, choć zaraz się zreflektowała, że zabrzmiało to zbyt ostro. - To znaczy zabrałaś? - poprawiła się.

- Masz rację, ukradłam go ... i dopiero, gdy przeczytałam wasz list, zostawiony w naszej skrzynce, zrozumiałam, jak bardzo musi być wam smutno bez niego. Poza tym kot też był smutny, nie chciał się ze mną bawić, mało jadł i ciągle siedział przy oknie. Przyznam ci szczerze, że po tych kilku dniach miałam już dosyć opiekowania się nim, ciągłego pamiętania o karmieniu i sprzątaniu kuwety...

- Julia! - Basia nagle przystanęła – to chyba dobrze się złożyło, że nie dostaniesz tego psa?!

- No właśnie, też tak pomyślałam, że jednak dobrze. Jednak to Rudolf, uświadomił mi, że zwierzaki nie są z mojej bajki – Julia w końcu się uśmiechnęła .

- Dziękuję, że go w końcu uwolniłaś – Basia z trudem zdobyła się na to, by wyrazić swą wdzięczność – ale przez ciebie przeżyłam z rodziną siedem długich dni oczekiwania i niepokoju...

- Wiem, Baśka, trochę późno to zrozumiałam, ale chyba lepiej późno, niż wcale, nie? - Julia z nadzieją spojrzała Basi w oczy. - Wybaczysz mi? -zapytała.

Basia spuściła głowę. Nie wiedziała, co odpowiedzieć koleżance. Chciała być szczerą, ale też czuła, że chowanie urazy nie ma sensu.

- Tak, Julia, już ci wybaczyłam. - powiedziała w końcu. - I wiesz, teraz ja zazdroszczę ...
- dodała.

- No wiem, wszyscy mi zazdroszczą, zwłaszcza kucyka – westchnęła Julia nieco teatralnie.

- Ale ja nie tego ci zazdroszczę, i nie zagranicznych wycieczek ani prywatnych lekcji francuskiego, ani nawet pięknego pokoju ...

- No to czego? - Julia wybałuszyła oczy ze zdumienia.

- Zazdroszczę ci odwagi. Bo wiesz, nie wiem, czy mnie byłoby stać na to, by przyznać się do czegoś złego. To bardzo trudne. - przyznała Basia.

Tym razem Jula się zamyśliła.

- Nie pomyślałam o tym w ten sposób – powiedziała w końcu. - Nie uważasz, że to zabawne?

- Co? - Basia nie rozumiała, o co jej chodzi.

- No to, że zazdrościmy sobie nawzajem, a tak naprawdę nie ma powodu, bo każda z nas jest inna i dobrze, że tak jest!

Na te słowa dziewczynki roześmiały się serdecznie, a podążający za nimi Rudolf, aż przysiadł na rudym ogonie.

- A chciałabyś kiedyś pojeździć na moim kucyku? - zapytała Jula.

- Naprawdę? Mogłabym? - niedowierzała Basia. Jazda konna była jej wielkim marzeniem, o którym nikomu nie mówiła, a teraz mogła je spełnić.

- Jasne, żaden problem. Tylko swojego Anioła będziesz musiała zostawić w domu.

- Anioła? Jakiego anioła? - Basia myślała, że źle usłyszała.

-Tego z rudym ogonem – Jula obejrzała się, wskazując na Rudolfa, który cały czas kroczył za nimi z dumnie podniesionym ogonem ...

Uczniowie klas VII-VIII

Poezja

Victoria Billack, *Nasza Polska*

Orzeł Biały na czerwonym tle wyfrunął przed Lechem, Czechem i Rusem

i tak zaczęła się nasza piękna Polska

Inne narody próbowały ją zniszczyć

Próbowały ją z mapy wymazać

Mieliśmy zakaz mówienia w naszym w ojczystym języku

Nasza Flaga zniknęła

Nasz Orzeł przestał fruwać

Ale my zostaliśmy silni i nieugięci

Walczyliśmy za naszą ojczyznę

Dlatego Polonia jest jak rodzina

My wszyscy nosimy rany i blizny Polski

Każdy z nas chce widzieć ją silną, niepodległą i solidarną
Dlatego idziemy w Dzień Pułaskiego na Piątą Aleję
Ubieramy się w nasze stroje ludowe - barwy ojczyście
Dumnie kroczy my i o naszych przodkach pamiętamy
Flaga Polski fruwa na wietrze
Muzyka wesoło gra
Już nie idziemy ze spuszczoną głową
Już nie boimy się mówić po polsku
Możemy wykrzyknąć
Kocham Cię Polsko!
Moja polska szkoła maszeruje razem ze mną
Polska szkoła uczy mnie ojczyściego języka na obczyźnie
Historii mojego pięknego kraju
Położenia Polski na mapie.
Podpowiada mi, co muszę zobaczyć, żeby ją lepiej rozumieć
Uczy kochać moją ojczyznę
Kraj moich przodków
Kraj bohaterów!
My na Piątej Alei musimy pokazać, że Polska jest silna
Inne narody patrzą
Nie wstydzimy się naszej narodowości
Nie boimy się innych opinii
Niech inne narody patrzą i się uczą solidarności
Solidarności od naszego narodu
Który na obczyźnie solidarnie kroczy
Jesteśmy Polakami!
My reprezentujemy Polskę

Nawet gdy jesteśmy urodzeni na obczyźnie.

Maszerujemy

Bez ograniczeń

Bez limitów

Razem!

Avery Engel, *Kolorowe życie*

Widzę cię wszędzie.

Rano u stóp mojego łóżka,

Wieczorem naprzeciw mnie przy stole.

W parku, kiedy spaceruję,

W kuchni, gdy nalewam herbatę po obiedzie.

Widzę twoje

Zielone oczy w kryształach moich kolczyków

Twoje miękkie włosy, gdy przeczesuję je palcami

Uśmiech twój, jak rozświetla pokój.

Twoje ręce, jak znikają pod słońcem,

Twój uśmiech, gdy zaczyna topnieć.

Twoje demony, gdy biegają po ulicy,

Twój czas powoli znika.

Ja, kiedy staję się samotna.

Ty, kiedy znikasz.

Moje serce w twoich rękach.

I tam pozostanie.

Twoje serce w moich dłoniach.

Sprawiasz, że moje życie jest takie kolorowe.

Helena Jarczyk, *Origami*

Delikatne zagięcia papieru

Kruchy oddech wypełnia złożony organizm

Wszystko działa według schematu

Każda rysa zaburza lekkość istnienia

Żyję w piramidzie z origami

Gdzie oddech burzy ratując

Gdzie emocje się mieszczą w materii

Rzeczywistość w skrawkach bibuły

Zegnę siebie na pół

I powstanę kimś obcym

Przeleję duszę na papier

I zniknę w przestrzeni bieli

Kamila Karpowicz, *Polska*

Słowo - Polska

Liter kilka, a ile treści -

P - to pokój,

za który ginęli nasi żołnierze bez wieści,

O - to orzeł biały,

szeroko roztaczający swe skrzydła nad nami,

L - to ludzie, dla których dom, matka, chleb to słowa ważne

S - to siła, której nam nigdy nie braknie

K - to krainy zielone

od Tatr wysokich aż po Bałtyckie Morze

A - to wszystko ... - to właśnie POLSKA, ojczyzna, którą kochamy!

Kamila Karpowicz, *Czekanie*

Pamiętam entuzjastyczny krzyk,

Radość w nas i w oczach błysk -

Szkoły zamknięte, dwa tygodnie przerwy,

Brzmi nieźle, prawda?

Uśmiech na twarzy, pobyt w domu i dłuższe spanie,

Nikt nie zdawał sobie sprawy, co naprawdę się stanie.

Nieświadomi, niepewni jutra, jak pisklęta w gniazdach...

Aż wszystko okazało się coraz bardziej prawdziwe i straszne,

I nasz dziecięcy świat razem z tym.

Dzień w domu nie cieszył już nas.

Był to bezsensowny, niekończący się czas.

Świat zatrzymał się w miejscu, a my razem z nim.

Czas jednak płynie.

Nasza bezradność jest jak wydłużające się dni.

Czekamy ...

Czekamy na dni, kiedy będzie znowu jak dawniej.

Bartosz Lipiński, ***

W niebie bal aniołów trwa.

Sypie się białe konfetti.

Zima – okrutna dama.
Wyrzuciła z pędzącego dyliżansu jesień.
Teraz przemierza pola, zagrody, sady.
Obraca w... biel naturę.

Rzeki już usnęły snem sprawiedliwego.
Drzewa – oszronione – niczym dziwaczne szkielety.
Przechwytyują promienie słońca.
Mróz-tkacz rozwiesza na szybach wzorzyste kilimy.

A ja nawijam na kłębek... samotność.
I czekam na inicjację wiosny.
Może razem odnajdziemy Wyspy Szczęśliwe.
Może...

Bartosz Lipiński, *Impresja jesienna*

Jesień ostrożnie stąpa przez tajemniczy świat.
W sukni patchworkowej – zszytej ze skrawków czerwieni, żółci.
I z brązu.
Z warkoczami przewiazanymi jarzębiną.

Pożegnała lato skinieniem dłoni.
Odjechało – niepyszne – pociągiem poza horyzont.
Z walizami pachnącymi czereśniami, wiśniami.
Z bukietem róż i maków zmartwionych podróżą.

Jesień jeszcze nie odgadła... sekretu.

Wkrótce jej ciało przeszyje śnieżny pocisk.

I wkrótce życie ofiaruje ziemi.

Bartosz Lipiński, *Dąb*

W leśnych ostępach – cisza.

Dąb trwa w zamyśleniu.

W leśnych ostępach – cisza.

Dąb trwa w zamyśleniu.

Dawno zgubił wyniosłość.

Młodość też uciekła.

Głowa- otoczona liśćmi – zwisa bezwładnie.

Zdrewniałe powieki ledwo się unoszą.

Stopy ogrzewa... mech.

Na karbowanej skórze – bursztyn.

W sercu... żal.

Dąb przechowuje jeszcze opowieści i legendy.

Cierpliwie czeka na wizytę Mrocznego Pana.

On ofiaruje bukiet maków i... śmierć.

Niechciany to dar...

Irma Olejniczak, *To już we mnie przeniknęło*

Tęcza? I owszem,

na niebie, we włosach, w spojrzeniu ,

może być wszędzie.

Gdzie nie spojrzysz – już się zadomowiła.

O, tam – ktoś się ubiera w jej wzór,

O, patrz – tam wisi flaga,

O, chłoń – to ptaki skrzą się na słońcu.

I pomyśl teraz, co jest najpiękniejsze

w tym wszystkim.

Otóż barwy.

I czyż nie najlepsze są one

w umyśle?

Kiedy przenikają Cię do głębi,

Kiedy chcesz śpiewać na ich cześć,

Kiedy poznasz wreszcie, że bez nich nie możesz

żyć.

Wtedy już wiesz,

że to Twoja osobowość

składa się

z różnorodnych, nieznanych, niesamowitych,

Kolorów.

Julia Wroblewski, *Kim jestem?*

Jest milion wydarzeń na świecie.

Są huragany, pożary, jest głód,

ale to kim ja jestem,

tego nie wiecie i na pewno nie zgadniecie.

Nie mogę Cię przytulić,
ani stanąć blisko.

Musisz nosić maskę,
ale nie za nisko.

Zamknęłam Cię w domu,
nie dałam wyjść daleko.

Nie dałam radości nikomu,
nie mogłeś nawet wyjść po mleko.

Czy już wiesz, kim jestem?

Odpowiedz, no śmiało.

Zabrałam ze sobą dużo ludzi,
wcale nie mało.

Przeze mnie zamknęła się akademia.

Uważajcie na mnie!

Mam na imię Pandemia.

Proza

Kaja Kieferling, *Wyścig trzech prób*

Thalia wracała do domu z letniego jarmarku. Na schodach przed drzwiami leżała kremowa koperta z pieczęcią należącą do Stowarzyszenia Magicznego. Szybko wzięła ją do ręki, mając nadzieję, że żaden z sąsiadów tego nie zauważył. Weszła do domu i ściągnęła długi, ciemnozielony płaszcz z kapturem zakrywający całe ciało. Nikt w jej wiosce nie powinien wiedzieć, że jest elfką i uczy się magii w Szkole Stowarzyszenia Magicznego. Elfy jako jedyne w całym Wielkim Królestwie były w stanie posługiwać się magią i wywoływać

to, niestety, strach w ludziach. Z tego powodu Thalia zawsze chowała swoje uszy, kiedy wychodziła z domu i nie posługiwała się magią przy niezastłoniętych oknach. Przed otwarciem koperty zamknęła drzwi, upewniła się, że nikt jej nie zobaczy i usiadła w starym fotelu. Rozpakowała kopertę i zaczęła czytać:

Czcigodna Thalio Ignis,

mamy zaszczyt zaprosić cię do Wyścigu Trzech Prób, który rozpocznie się z rana w dzień następnego pełni księżyca na Makowym Wzgórzu. Wyścig ten jest potrzebny, aby uzyskać licencję Maga Stowarzyszenia Magicznego. Wierzimy, że pomimo młodego wieku dasz radę zmierzyć się z adeptami magii z całego królestwa. Wyścig będzie sprawdzał twoje predyspozycje i zdolności, tak więc zabronione są wszelkie wzmacniacze mocy.

Oczekujemy twojego przybycia

Rada Stowarzyszenia Magicznego

Dziewczynie ciężko było uwierzyć w to, co przeczytała. Większość elfów przystępowała do wyścigu w wieku dziewiętnastu lat. Thalia miała siedemnaście lat i przed sobą jeszcze dwa lata nauki poświęcone na utrwalanie wiedzy i lepsze oswojenie się ze światem magii. Sama nigdy by się nie odważyła na udział w tym wyścigu. Skoro jednak dostała to zaproszenie, postanowiła spróbować. Pomyślała, że jeżeli jej się nie powiedzie, zdobędzie doświadczenie na przyszłoroczne zawody.

„Następna pełnia jest już za tydzień. Żeby dotrzeć z Małej Wsi do Makowego Wzgórza potrzebuję czterech dni” – pomyślała i postanowiła wyruszyć natychmiast. Wsunęła list z powrotem do koperty i poszła się pakować. Spod łóżka wyciągnęła drewniany kufer. Otworzyła go i zaczęła pakować najprzydatniejsze rzeczy. Wkrótce była gotowa. Zatrzasnęła wieko kufra, usiadła na łóżku, aby chwilę odpocząć. Otworzyła swój notatnik, w którym zapisywała wszystkie istotne informacje na temat magii. Wszelkie znane jej magiczne rośliny i zwierzęta były w nim opisane.

Następne dwa dni spędziła na przygotowaniach do wyścigu. Ćwiczyła rzucanie zaklęć, sporządzanie wywarów magicznych. Powtarzała wiedzę na temat stworzeń zamieszkujących Wielkie Królestwo.

Kiedy nadszedł dzień rozpoczęcia wyprawy na wzgórze, Thalia upewniła się, że wszystko, co będzie jej potrzebne jest spakowane i ostatni raz spojrzała w lustro. Zobaczyła w nim elfkę o jasnej karnacji i niebieskich oczach przypominających kolorem morze. Spiczaste uszy wystawały spod gęstych, czarnych włosów sięgających do ramion. Na ramionach miała narzucony ciemnozielony płaszcz, który zdobiły wyszywane liście i pędy roślin.

– Komu w drogę, temu czas, prawda? – rzekła, aby dodać sobie odwagi.

Założyła kaptur i chwyciła podróżny kufer. Przed wyjściem sprawdziła jeszcze, czy wszystkie okna są szczelnie zamknięte. Na drzwiach wejściowych nakreśliła magiczny znak zabezpieczający przed intruzami i wyruszyła w drogę.

- A ty dokąd, panienko? – zaczepiła ją sąsiadka z naprzeciwka, która wszystko musiała wiedzieć.

- Muszę na kilka dni wyjechać w sprawach rodzinnych, babciu – odpowiedziała Thalia.

- Dobrej drogi ci życzę, dziecinko.

Thalia uśmiechnęła się, machając kobiecie na pożegnanie.

W sumie jej nie okłamała. Wyciąg to w pewnym sensie sprawa rodzinna. W końcu przybędą nań elfy i elfki z całego Wielkiego Królestwa. Thalia skrycie liczyła, że uda jej się znaleźć przyjaciół, czuła się bowiem czasem bardzo samotna. Jedyną osobą bliską był jej nauczyciel magii, profesor Veneficus. On ją wychował. Kiedy miała cztery latka, zabrał ją z sierocińca, gdzie zostawili ją rodzice, których nie pamiętała. Profesor zajmował wysokie stanowisko

w Radzie Stowarzyszenia Magicznego. Niestety, pół roku temu musiał wyjechać, by pilnować interesów, bo jego rywal Probilicjusz, robił wszystko, aby go zdyskredytować. Od tamtej pory Thalia mieszkała w Małej Wsi sama.

O zmroku Thalia doszła do miasteczka o nazwie Dolina Kwiatów. Znajdowała się tam ulica: Różana, Tulipanowa, Bzowa i Konwaliowa. Woń kwiatów drażniła nozdrza. Po półgodzinie poszukiwań przy ul. Narcyza elfka znalazła nocleg w przystępnej cenie. Zajazd był zbudowany z jasnego, dębowego drewna, na którym były wymalowane liście. Zrobił na Thalii bardzo dobre wrażenie, które umocniło się, kiedy weszła do środka.

– Dobry wieczór, czy są jakieś wolne pokoje? – zapytała.

Za ladą siedział barczysty mężczyzna w średnim wieku. Miał brązowe, kręcone włosy i szare oczy. Był ubrany w lnianą, beżową koszulę i czarne spodnie.

– Wybór jest ograniczony. Został jeden pokój na piętrze i jeden na parterze, zależy co panienka woli – odrzekł.

– Poproszę ten na piętrze – Thalia cieszyła się, że tak łatwo udało jej się znaleźć wolny pokój. Zapłaciła, wzięła klucz, do pokoju po czym udała się w stronę schodów.

– Panienka pozwoli, że mój syn zabierze panienki bagaż – rzekł właściciel – Tristan!

Chwilę potem z piętra zbiegł wysoki blondyn o oczach bardzo podobnych do oczu ojca. Bez słowa wziął kufer Thalii i zaprowadził ją do jej pokoju z numerem czternaście. Pomieszczenie było bardzo gustownie urządzone.

– Bardzo ładny pokój – powiedziała Thalia, na co Tristan wzruszył tylko ramionami.

– Jesteś elfem prawda? – zapytał.

– Na jakiej podstawie tak sądzisz? – zapytała zdziwiona dziewczyna.

– Nosisz gruby kaptur w środku lata? Żaden człowiek tak nie robi. Na gnoma ani trolla też nie wyglądasz.

- Spozregawczy jesteś – rzekła, nie mając siły zaprzeczać – Nie zamierzasz chyba na mnie donieść?

- Jasne, że nie. Zawsze marzyłem, żeby spotkać prawdziwego elfa.

Thalia podeszła do okna, aby je zasłonić. Mocowała się chwilę z kotarę – bez rezultatu.

- Daj, pomogę ci – zaoferował Tristan – spójrz, tutaj jest mała dźwignia.

Thalii było gorąco i ściągnęła kaptur. Z pomiędzy jej czarnych włosów wystawała para spiczastych uszu. Chłopak uniósł dłoń i dotknął ich.

– Co ty robisz? – Thalia gwałtownie odsunęła się od niego.

– Przepraszam – Tristan był wyraźnie zakłopotany – Nie mogłem się powstrzymać. Nigdy, nie dotykałem uszu elfa.

Thalia nie wiedziała, czy ma się oburzać, czy się śmiać.

– Tristan! Co ty tam tak długo robisz? – rozległ się z dołu głos ojca – Myślisz, że jak zanieziesz jeden kufer na piętro, to już jesteś wolny do końca dnia? Wracaj tu natychmiast albo przyjdę tam i powycieram tobą kurze!

– Już leczę! – zawołał Tristan – Dobrego pobytu, jeśli będziesz czegoś potrzebowała, mieszkam pod dziesiątką.

– Dla wszystkich klientów jesteś taki miły?

– Tylko dla elfiej części klienteli, choć szczerze mówiąc, jesteś pierwszym elfem goszczącym w naszych progach – uśmiechnął się szeroko i zbiegł na parter.

Thalia zjadała skromny posiłek, który kupiła po drodze. Przed snem myślała jeszcze o tym miłym chłopaku, Tristanie i oczywiście o wyścigu. Ciekawa była, ile osób otrzyma licencję, skoro jest to wyścig. Zakładała, że ich liczba będzie ograniczona. Noc minęła dosyć szybko.

Następnego ranka, kiedy Thalia opuszczała zajazd, gości obsługiwał Tristan.

– To był dla nas wielki zaszczyt gościć elfa. Jakbyś przejeżdżała jeszcze obok Doliny Kwiatów, to wpadnij. Może mogłabyś nauczyć mnie czarować?

– Jesteś bardzo miły, Tristanie. Dziękuję za gościnę. Do zobaczenia.

Thalia wędrowała cały dzień, robiąc jedynie krótkie postoje, aby się posilić. Przenocowała na Wietrznej Górze. Następnego dnia wyruszyła o świcie w dalszą drogę. Koło południa doszła do Makowego Wzgórza, gdzie pod siedzibą Rady Stowarzyszenia Magicznego ku jej wielkiej

radości powitał ją Profesor Veneficus. Był starszym elfem z długą, rudo-białą brodą splecioną w warkocz. Jak na elfa był dosyć niski. Thalia przerosła go o pół głowy.

– Moje dziecko, jak ci minęła podróż? Mam nadzieję, że nie miałaś żadnych problemów z dotarciem tutaj.

– Nie, na szczęście dotarłam bez większych przeszkód. Zastanawia mnie tylko, dlaczego zdecydowałaś, że mogę wziąć udział w tegorocznym Wyścigu.

– Uważam, że jesteś na niego gotowa. Wychowuję cię od czwartego roku życia i od tego czasu miałaś kontakt z magią. Można powiedzieć, że gdybyś przystępowała do Wyścigu Trzech Prób za dwa lata, to stanowiłabyś zbyt dużą konkurencję dla swoich rówieśników – Veneficus zaśmiał się i puścił do niej oczko. – Zaprowadzę cię teraz do twojego pokoju, musisz być zmęczona po trzydniowej wędrówce.

Elf oprowadził Thalię po kamiennej budowli i pokazał pokój przeznaczoną dla niej. Znajdował się na piętrze. Z okna doskonale było widać okolicę. Na kamiennej posadzce był rozłożony wielki czerwono-złoty dywan, na którym stało masywne, mahoniowe łóżko z baldachimem. Było tak dużo poduszek, że Thalia pomyślała, że mogłaby w nich utonąć. Wielka, szafa stała pod ścianą. Była tak ogromna, że mógłby się w niej zmieścić dorosły koń.

- Rozgość się. Gdy się rozpakujesz, zejź na dół. Znajdziesz drogę?

- Bez kłopotów.

Rozpakowanie się nie zajęło jej dużo czasu. Postanowiła poznać zamek i otoczenie. Podczas spaceru nie natknęła się na żadnych innych uczestników wyścigu. Kiedy weszła do biblioteki, dowiedziała się dlaczego. Wszyscy siedzieli i z przejęciem przeglądali swoje zapiski. Thalia uznała, że nie będzie się więcej uczyć, ale poczyta coś dla rozrywki. Wzięła do ręki pierwszą lepszą książkę, która wydawała się interesująca, usiadła w fotelu i pogrążyła się w lekturze. Czytała aż do kolacji, podczas której nawiązała kilka znajomości.

Elfka o blond włosach, średnim wzroście i ciemnych oczach wydawała się zainteresowana tym, co Thalia ma do powiedzenia. Było to dla niej całkiem nowe doświadczenie, bo przeważnie wszyscy się od niej odwracali. Elfka nazywała się Rachel Ver i przejęta była wyścigiem.

Ceremonia rozpoczęła się następnego dnia natychmiast po śniadaniu, które wszyscy spożywali niemal w całkowitym skupieniu.

– Szanowni adepci, witam was w imieniu Rady Stowarzyszenia Magicznego – przemówiła Przewodnicząca Rady. – Dzisiaj rozpocznie się Wyścig Trzech Prób, który ma sprawdzić wasze umiejętności magiczne. Jak wiecie, za użycie wspomagaczy magii grozi dyskwalifikacja, więc jeśli ktoś je posiada, proszę o ich oddanie.

Podniosła kciuk do góry i obok pierwszego schodka podium pojawił się duży, wiklinowy kosz. Kilka osób podeszło i wyrzuciło do niego jakieś zakorkowane fiolki z kolorowymi płynami. Przewodnicząca odczekała chwilę i wznowiła swoją przemowę.

– Skoro tę kwestię mamy już za sobą, pora przejść do omawiania Wyścigu. Pierwsza Próba będzie sprawdzała umiejętność współpracy z innymi oraz szybkość myślenia. Będziecie mieli dziesięć minut na dobranie się w pary. Potem będziecie razem musieli przebiec przez las. Możecie używać wszelkiego rodzaju zaklęć, z wyjątkiem tych, które mogą komuś zrobić krzywdę.

Pierwsze sto par, które dobiegnie do oznaczonego punktu, będzie brała udział w Drugiej Próbie. Jak pewnie wiecie, a może nie wiecie, będzie ona sprawdzianem znajomości zaklęć. Każdy uczestnik dostanie ich listę. Umiejętności wasze sprawdzi specjalna komisja. Kto zmieści się w wyznaczonym czasie, zostanie dopuszczony do trzeciej próby.

Wśród słuchaczy dało się słyszeć szepty.

- Proszę o uwagę, bo nie będziecie wiedzieli nic z tego, co mówię, a ja powtarzać nie zamierzam – ostrzegam.

Wszyscy zamilkli posłusznie.

- Trzecia Próba bada wasz wpływ na zwierzęta. Macie jakieś wywołać z lasu i skłonić, żeby zaprowadziło was na Księżycową Polanę. Pierwsze czterdzieści osób, które tam dotrze, dostanie licencję, po którą tu przybyliście. Życzę wam powodzenia i oficjalnie rozpoczynam Wyścig Trzech Prób.

Wszyscy wstali i zaczęli bić brawo. Kiedy przewodnicząca opuściła salę, Rachel odwróciła się do Thalii i spytała:

- Będziemy razem?

- Z przyjemnością – Thalia myślała, że podskoczy z radości.

Mogła już rozpocząć pierwszą próbę. Obie pobiegły w stronę lasu. Pierwszą przeszkodą była rzeka. Thalia stworzyła wielki bąbel powietrza i obie wskoczyły do wody. Unosiły się wolno na powierzchni, więc Rachel wypuściła ze swoich rąk podmuch wiatru, który wyrzucił je na drugi brzeg i trochę spowolnił część grup. Gdy tylko bąbel dotknął ziemi po drugiej stronie rzeki, pękł i dziewczyny pobiegły dalej. Po drugiej stronie znajdowała się już duża grupa elfów.

- Nie ma czasu do stracenia – rzekła Thalia i pociągnęła za rękę Rachel. Biegły jak szalone, znajdując sposób, aby omijać zwalone kłody, mrowiska, kłębowiska węży oraz parujące jezioro. Kiedy wreszcie zobaczyły przed sobą dużą czerwoną flagę, poczuły ulgę, ale nie zwalniały tempa. Jako trzydziesta piąta para ukończyły Pierwszą Próbę.

Gdy setna para dobiegła do flagi, rozległ się głośny dźwięk rogu. Na twarzach elfów, którym się nie udało malował się smutek. Odeszły w stronę zamku. Thalia i Rychel stały w kolejce po listę z zaklęciami. Kiedy wszyscy je otrzymali, rozległ się gong informujący, że należy wejść do rotundy i odnaleźć pokój ze swoim imieniem wypisanym magicznymi runami na drzwiach. Był to biały sześcian bez okien i drzwi, nad sufitem znajdowało się kilka czujników. Thalia ze skupieniem przyjrzała się kartka. Większość zaklęć znała bardzo dobrze. Nad niektórymi musiała chwilę pomyśleć. Kiedy doszła do ostatniego, z sufitu rozległ się głos: „Gratulujemy, znalazłaś się w grupie zakwalifikowanych do następnej rundy”. Ku szczerzej radości awansowała również Rachel, która osiągnęła nieco gorszy wynik od niej. Gdy Trzecia Próba rozpoczęła się, rozbrzmiały wielorakie dźwięki. Wszyscy przywoływali zwierzę. Thalia koncentrowała się jak mogła. Po dwóch minutach na jej ramieniu usiadł drozd.

- Zaprowadzę cię tam, gdzie chcesz, jeśli zbudujesz mi gniazdko z gliny i błota – zaćwierkał Thalia przystąpiła do pracy. Kilka razy musiała burzyć konstrukcję, ponieważ drozd był wybrednym ptakiem. Wreszcie udało się go zadowolić.

Drozd spełnił obietnicę. Gdy razem z nim dotarła na wyznaczone miejsce, było tam tylko osiemnaście osób. Kolejne dołączały. Thalia była oszołomiona sukcesem. „Otrzymam licencję, otrzymam licencję” – cieszyła się.

Jej umiłowany profesor podszedł do niej.

- Mówiłem, że ci się uda – rzekł rozradowany.

Ceremonia wręczenia licencji odbyła się nazajutrz. Rozpoczęła się od przemówienia przewodniczącej, która gratulowała wszystkim sukcesu:

– Moi drodzy adepci, ukończyliście Wyścig Trzech Prób i udowodniliście, że jesteście godni licencji maga. Nie będę więc nazywała was dłużej adeptami. Od dzisiaj jesteście pełnoprawnymi magami i świat stoi przed wami otworem. W imieniu całej Rady Stowarzyszenia Magicznego, gratuluję.

Z drżeniem serca Thalia podchodziła po odbiór licencji, gdy przewodnicząca wyczytała jej nazwisko.

- Thalia Ignis, gratuluję z całego serca – przewodnicząca uścisnęła jej dłoń, a następnie szepnęła jej do ucha – Mam nadzieję, że od września obejmiesz posadę w szkole dla początkujących magów.

Thalię zaskoczyła ta propozycja, ale i ucieszyła. Miała poczucie, że teraz ma wszystko, o czym marzyła: licencję, pracę, a przede wszystkim przyjaciół – Rychel i Tristana, który czekał na nią w Kwiecistej Dolinie.

Hanna Sosa, *Herbaciarnia pod Bzem*

Pewnego pochmurnego dnia do drzwi największej w mieście herbaciarni „Pod Bzem” weszła wątpa blondynka o imieniu Maria. Dziewczyna właśnie skończyła osiemnaście lat i potrzebowała pracy. Kiedy podeszła do lady zobaczyła niebieskooką staruszkę, która wydała jej się znajoma. Była pewna, że już ją gdzieś widziała oraz że słyszała jej głos. Przez chwilę pograżyła się w zamyśleniu, ale na ziemię szybko sprowadził ją brzdęk tłuczonego szkła. To jedna z kelnerek – Małgorzata, upuściła tacę, rozbijając dwie filiżanki w drobny mak. Wyglądała na przestraszona. Przez chwilę panowało zamieszanie, lecz właścicielka szybko opanowała sytuację. Gdy wróciła do Marii, po krótkiej rozmowie, bez dłuższego zastanowienia, zatrudniła ją w charakterze kelnerki. Dziewczyna wyszła z budynku bardzo z siebie zadowolona. Przez całą drogę do mieszkania rozmyślała o staruszce. Wiedziała, że gdzieś ją widziała. Widziała już te ruchy, zachowanie. W końcu zarzuciła tę myśl i zajęła się swymi codziennymi obowiązkami. Następnego dnia, gdy dotarła do pracy, staruszka uściskała ją i życzyła wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, o których Maria sama całkiem zapomniała. Podziękowała uprzejmie, ale miała ochotę zrobić coś innego. Przez to wydarzenie pomyliła zamówienia i prawie upuściła czajnik z gorącą wodą. Po powrocie do domu z ulgą położyła się na kanapie. Znowu naszły ją różne myśli, którym oddała się w pełni. Dlaczego ta kobieta złożyła mi życzenia - myślała Maria - przecież mnie nie zna. Może zapamiętała datę z dokumentów złożonych na początku pracy.

Postanowiła pozostać przy tej opcji, ale nie dawała jej ona pełnej satysfakcji. Tej nocy obudziła się z nagłym przeblyskiem. Przypomniała sobie wyraz twarzy kelnerki imieniem Małgorzata. Po wejściu Marii upuściła tacę! Dlaczego? Patrzyła wtedy na nią! Ona musi coś wiedzieć!

Następnego dnia popędziła do herbaciarni, aby znaleźć Małgorzatę. Okazało się, że zrezygnowała z pracy i przeprowadza się. Maria szybko pobiegła na dworzec. Zdążyła w ostatniej chwili. Pośród tłumu obcych ludzi ujrzała znajomą twarz z charakterystyczną burzą rudych loków Małgorzaty. Złapała ją za ramię i potrząsnęła.

- Dlaczego wyjeżdżasz? Co się stało? Proszę powiedz mi, jeśli powinnam coś wiedzieć! - krzyczała Maria.

- Nie wiem, o co ci chodzi!

- Wiesz!

Małgorzata nic nie odpowiedziała, tylko dała Marii do ręki klucz i oddaliła się. Maria wiedziała, że nie ma szans na wyciągnięcie więcej informacji od Małgorzaty, więc

postanowiła wrócić do pracy. Zachodziła w głowę, do czego mógł być potrzebny jej klucz, gdy nagle zobaczyła w pęku kluczy noszonym przez staruszkę taki sam egzemplarz. Bez ogródek zapytała o niego, a roztrzępana właścicielka odpowiedziała nie wachając się, że jest to klucz od mieszkania. Po wyjściu staruszki z budynku Maria weszła po schodach na górę do domu jej pracodawcy. Normalnie miałyby opory, aby zrobić coś takiego, lecz tym razem sytuacja wydawała się zupełnie niezrozumiała. W tym przekonaniu utwierdziło Marię zachowanie kelnerki. Wsadziła klucz do zamka, przekręciła, nacisnęła klamkę i... drzwi otworzyły się od razu. Pomieszczenie było niesamowicie zagracone. Na każdym kroku można było potknąć się o bezużyteczny przedmiot. Rozglądała się przez moment, kiedy oczy Marii zauważyły zdjęcie. Postanowiła przyjrzeć mu się bliżej. Takie samo zdjęcie miała w albumie rodzinnym! Podobno przedstawiało jej matkę. Maria nigdy nie poznała swoich rodziców ani nie miała krewnych, lecz wcześniej w ogóle nie przyszło jej do głowy, żeby sądzić, że właścicielka herbaciarni jest z nią spokrewniona. Usłyszała dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi, więc pospiesznie wyszła z mieszkania. Nie chciała działać szybko, aby nie popełnić żadnej złej decyzji. Reszta dnia upłynęła spokojnie, a dziewczyna starała się nie przejmować tak problemem. Odłożyła go na później, bo w nocy myślała lepiej.

Ta noc faktycznie dała się Marii we znaki. Nie przespała nawet minuty ciągle decydując się na coś innego.

Nie mogę przecież zapytać wprost, a jeśli to jest właśnie najlepszy wybór? - kontynuowała swoje rozmyślenia. Chyba wrócę do jej mieszkania? Tak naprawdę, to nawet nie jestem pewna jej imienia... Nazwiska też raczej nie słyszałam. Wszystko to jest takie dziwne... mogłam się zatrudnić w tej przytulnej kawiarni na sąsiedniej ulicy.

Dni mijały, a Maria wciąż cierpiała z powodu nieprzespanych nocy. Nigdy by sobie nie wyobraziła, że znajdzie się w takiej sytuacji. Z natury była zdecydowaną osobą, choć na taką nie wyglądała, ale teraz wszystko mieszało się jej w głowie. Kiedy tylko wpadała na jakąś myśl, następna gasiła tamtą faktem nie pasującym do układanki. I do tego, niczego nie była pewna. Maria stwierdziła, że od tego wszystkiego mogła już oszaleć.

Wyglądało na to, że przez pierwsze dni staruszka (która jak się okazało ma na imię Helena, nie Ela) nic nie zauważyła. Tym razem jednak po prostu zapytała.

- Co się z tobą dzieje, kochanie?

- Nic... nic tylko jestem zmęczona. - odpowiedziała Maria, nie do końca przekonująco.

- Ach... To widać.. widać... Nie! Te filiżanki idą do kredensu obok! - z tymi słowami odeszła od dziewczyny. Maria była już totalnie wyczerpana. Zdecydowała się na desperacki krok. Przy najbliższej okazji zapyta się wprost, tak jak Helena.

Następna okazja nadarzyła się dwa dni potem. Maria, co prawda trochę zwlekała z tą okazją, wmawiając sobie, że dana sytuacja nie jest wystarczająco dobrą okazją. Teraz akurat pani Helena zaprosiła ją po pracy do swojego mieszkania na ciasto. Wreszcie miała to co chciała, idealną okazję.

Po krótkiej rozmowie o wszystkim i o niczym dziewczyna zadała pytanie.

- Wiem, że może to być bardzo... nietypowe pytanie, ale pomyślałam sobie...

- Zawsze warto pytać! No, o co chodzi kochanie?- powiedziała z energią

- A więc chciałam się Pani zapytać, o to czy... czy... - po tym wahaniu, w końcu powiedziała szybko - czy pani mnie kiedyś widziała, czy pani mnie zna?

Pani Helena przekrzywiła swoją siwą głowę, pokręciła nią i niespodziewanie wybuchnęła śmiechem.

- Oczywiście, że cię znam, kochanie!

Maria bardzo zdezorientowana tą odpowiedzią zapytała niepewnym tonem

- Jak to, zna mnie pani?

- Znam cię kochanie, normalnie cię znam. Twoja mama była moją serdeczną przyjaciółką.

- Ach, ale dlaczego mi pani nie powiedziała od razu?

- Bo nie pytałaś, kochanie!

Dziewczyna jeszcze bardziej zbита z tropu, opowiedziała pokrótce o swoich wątpliwościach i o zachowaniu Małgorzaty, które upewniło ją, że dzieje się coś dziwnego.

- Małgorzata bardzo dramatyzuje, uwielbia odchodzić bez słowa i wprawiać ludzi w konsternację. Filiżanki stłukła, bo jest nieuważna. Faktycznie opowiadałam jej o tej pięknej pani na zdjęciu, jak to ją nazwała, a ty jesteś bardzo do niej podobna, więc zapewne mogła pomyśleć, że zobaczyła ducha.

- A dlaczego postanowiła wyjechać?

- Ponieważ zamierza wyjść za mąż i się przeprowadza.

- Ojej! Przepraszam panią bardzo za to zamieszanie! Aaa... skoro już wszystko się wyjaśniło, czy mogłaby mi pani opowiedzieć trochę o mojej mamie, wie pani prawie jej nie znałam?

- Ależ oczywiście! Poznałyśmy się na kółku teatralnym. Pięknie śpiewała i jak cudownie grała na pianinie! Występowałyśmy razem parę razy i mocno się zaprzyjaźniłyśmy. Spotykałyśmy się prawie codziennie. Pamiętam, jak pewnego dnia piekłyśmy razem ciasto na kiermasz i dałyśmy do niego soli zamiast cukru! Wszyscy się krzywili jak jedli, a my nie wiedziałyśmy o co chodzi! Przez jeszcze długi czas byłyśmy przyjaciółkami. Później twoja

mama poznała twojego tatę i trochę straciłyśmy kontakt. Gdy dowiedziałam się o tym strasznym wypadku, od razu pośpieszyłam z pomocą. Wzięłam cię pod opiekę na sześć miesięcy.

- Wydawało mi się, że znam panią.

- To było dawno temu, ale świetnie się razem bawiliśmy.

- Wierzę pani! Dziękuję bardzo za to wszystko, co pani mi opowiedziała. Chyba muszę już wrócić na dół.

- Dobrze. Pójdę z tobą.

Maria ucieszyła się niezmiernie, że dowiedziała się trochę więcej o swojej mamie. Jak to dobrze, że się zapytałam - myślała Maria. Ach, jaka byłam głupia wcześniej! Mam nadzieję, że pani Helena opowie mi więcej historii o mojej mamie. To tak świetnie się złożyło, że zdecydowałam się tu pracować.

Martyna Tkacz, ***

Dwie godziny treningu za mną. Dosłownie zmusiłam się do wykonania ostatnich 100 brzusków. Mimo wyciśniętych łez i ogromnego bólu, jaki spowił moje ciało, wykonałam wszystkie ćwiczenia z nadmiarem, tak jak chciałam. Potrzebowałam większych wycisków. Moje ciało nigdy nie będzie idealne, jeżeli nie będę pracować silniej.

- Wróciłam – oznajmiłam, zamykając drzwi wejściowe. Ściągnęłam czarne adidas i udałam się do salonu, w którym zastałam mamę.

Jak zwykle wyglądała idealnie. Jej cera przypomina nieskazitelną porcelanę, a figura – jest perfekcyjna. Zawsze chciałam być tak jak ona. Idealna.

- Tak szybko skończyłaś? – orzekła ze zdziwieniem, zdejmując z twarzy okulary i przyglądając mi się badawczo – powinnaś zdecydowanie więcej ćwiczyć.

- Dwie godziny. Drugi raz w ciągu dnia – odpowiedziałam ze skruchą – byłam zmęczona.

- Gdy niedługo zaczną się wakacje, a ty będziesz chciała ubrać strój kąpielowy na plażę, twoje „jestem zmęczona” nie będzie mieć żadnego znaczenia. Nie najem się wstydu w całym mieście, idąc się wykąpać z córką, która wyglądem dorównuje kobiecie w ciąży!

Westchnęłam cicho.

- Oczywiście, mammo. Masz rację, powinnam lepiej wyglądać.

- Wracaj do pokoju. Nie zjesz dziś kolacji. Może wtedy zrozumiesz, jak tragiczne skutki będą twojego opychania się.

Odwrociłam się na pięcie i udałam się do pokoju. Rozmowa z moją rodzicielką wcale mnie nie dziwi. To zupełnie normalne, że krytykuje mój wygląd. Najwyraźniej na to zasłużyłam.

Tak naprawdę nigdy wcześniej tak nie było. Gdy mieszkaliśmy w starym domu, a ja chodziłam do mojej starej szkoły, wszystko było na swoim miejscu – ja, mama, tata. To był najwspanialszy układ na świecie. Ale odkąd rodzice postanowili się rozwieść, a mama zabrała mnie na drugi koniec kraju do małego mieszkania, wszystko się zmieniło. Przez pierwsze miesiące miałam wrażenie, jakby mama wyłączyła opcję „życie”. Praktycznie nie opuszczała mieszkania. Swoje smutki próbowała na próżno utopić w lodach czekoladowych i łzach, których wylała nieskończoną ilość. Jednak odkąd pewnego dnia postanowiła się podnieść i zbudować na nowo życie, wszystko się zmieniło. Zaczęła nałogowo krytykować to, jak wyglądam. Nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy w ten sposób o moim ciele. Nie byłam dziewczyną z nadwagą ani niedowagą. Byłam normalna. Przeciętna. Ale mama zaczęła obsesyjnie zwracać uwagę na mój wygląd.

Gdy zamknęłam drzwi od pokoju, sięgnęłam po wagę znajdującą się pod łóżkiem. Za każdym razem, gdy usłyszałam od niej bardzo nieprzyjemne słowa, próbowałam samą siebie przekonać, że z pewnością nie może być tak źle.

Gdy zostałam w bieliźnie i weszłam na wagę, spojrzałam na wynik. 42 kilogramy przy 164 centymetrach wzrostu. To wprawdzie mniej niż ostatnio, jednak wciąż czułam poczucie winy, związane z tym, że zawiodłam mamę. Ignorując potrzebę napicia się wody, położyłam się na łóżko i momentalnie usnęłam.

25.05.2020

Dochodzi czwarta nad ranem. Mój brzuch za moment eksploduje z głodu, a gardło aż sam się prosi o trochę napojenia. Po raz chyba dwudziesty przekręcam się na kolejny bok, próbując zasnąć. Na nic.

Czułam się zestresowana, a jednocześnie nie opuszczało mnie poczucie winy. „Wyglądam tragicznie” – stwierdzałam w myślach. I w tamtym momencie wpadłam na pomysł, który prawdopodobnie był najgorszym, na jaki mogłam wpaść. Szybko podniosłam się z łóżka i zrzuciłam kołdrę na bok, a następnie zaczęłam wykonywać na podłodze szybkie przysiady. Starłam się na wszystkie możliwe sposoby ignorować głos żołądka, który rozpaczliwie wołał „hej, potrzebuję zjeść!” i zagłuszyć go ćwiczeniami. Oddychało mi się coraz ciężiej, ale nie zwracałam uwagi na ból. Musiałam udowodnić mamie, że uda mi się być doskonałą. Taką, jaką sobie mnie wymarzyła. Tak mijały ćwiczenia za ćwiczeniami. W pewnym momencie poczułam, jak wszystko zaczyna wirować mi przed oczami, a świat wydawał się być zamazany. Po paru sekundach opadłam na ziemię.

Leniwie otworzyłam oczy, czując niemiłosierny ból w plecach. Gdy po chwili doszłam do siebie, rozejrzałam się wokół. Dlaczego jestem na podłodze? Po chwili wspomnienia z nocy

wróciły. Ćwiczenia, łzy, ćwiczenia, wyrzuty sumienia, ból. Gwałtownie podniosłam się, ale od razu poczułam nieprzyjemny dreszcz na plecach, promieniujący wzdłuż do karku. Ból stał się nieustępujący. Wsparłam się na komodzie, a następnie powoli przeciągnęłam się do lustra. Odwróciłam się i podniosłam koszulkę.

W tamtym momencie określenie „sama skóra i kości” byłoby najbardziej trafnym, jakie mogłoby istnieć. Mój kręgosłup dosłownie był widoczny gołym okiem. Ból, jaki czułam, był przerażający. Niespodziewany. Wiedziałam jednak, że to nie może być nic takiego. „Do końca tego tygodnia powinno mi przejść” – wmawiałam sobie, wychodząc z pokoju i kierując się prosto do kuchni. Zastałam tam moją rodzicielkę jedzącą jajecznicę.

- Dzień dobry, mamó - powiedziałam.

- Mam nadzieję, że rozumiałaś to, co chciałam ci przekazać wczorajszego wieczoru. Nie miałam zamiaru w żaden sposób cię urazić, ale sama masz świadomość twojego zatłuszczonego ciała.

Auć. Zabołały mnie te słowa, zwłaszcza z ust kobiety, która wiele lat temu wpajała mi, że wygląd w żadnym wypadku nie jest najważniejszym aspektem, a raczej to, co mamy w sercu, się naprawdę liczy. Wiedziałam jednak, że nie mogę okazać słabości.

- Wybieram się dziś do lekarza. Coś jest nie tak z moim kręgosłupem – orzekłam w odpowiedzi.

Sięgnęłam po małą brzoskwinę, która miała stanowić moje dzisiejsze śniadanie. Od dłuższego czasu tak wyglądały wszystkie moje posiłki. Zwykle to był owoc bądź warzywa. Są niskokaloryczne, co działa wyłącznie na korzyść dla mnie i mojej wagi.

Takie przynajmniej miałam wrażenie.

- Też mi problemy z kręgosłupem. Zapewne znów coś wymyślasz. Chodź do łazienki, rozbierzesz się, przy okazji wskoczysz na wagę. Pokażesz mi też ten kręgosłup.

Posłusznie odłożyłam owoc i udałam się do łazienki. Gdy tylko ujrzałam własne odbicie w lustrze, moje oczy się zaszklily.

Wyglądam tak okropnie.

Paskudnie.

Nieidealnie.

Moje ciało nawet w 1% nie przypominało wymarzonej sylwetki. Mam wyrzuty sumienia, że nie mogę się postarać o lepszy wygląd.

Gdy zostałam w samej bieliźnie, wyjęłam wagę z szafki pod umywalką.

- Chodź, zobaczymy, jak bardzo jest z Tobą źle – oznajmiłam mama, stając w progu drzwi.

Chwilę później liczba mówiła sama za siebie.

39 kilogramów.

Traciłam na wadze jak szalona, a mimo to, nie czułam żadnych efektów.

- Co się stało z twoim kręgosłupem...?- zapytała mama, a ja poczułam przerażenie w jej głosie.

- Ćwiczyłam i... najwyraźniej to zwykłe nadwyrężenie – machnęłam dłonią, dając jej znak, że to nic takiego.

- Pojadę do lekarza z Tobą. Ktoś musi to zobaczyć – odparła, a następnie opuściła łazienkę.

Zdziwiła mnie jej reakcja. Czy naprawdę zmartwiła się o moje zdrowie? To było tak... niepodobne do niej. Może rzeczywiście nie chce mnie ranić, wypominając moją wagę.

Z powrotem ubrałam się i również wyszłam z łazienki, kierując się w stronę matki, która zakładała już buty do wyjścia.

- Weź coś do przekąszenia na drogę – oznajmiła.

To kolejna rzecz, która wywołała u mnie niemałe zdziwienie. Nie sądziłam, że kiedykolwiek będzie mnie sama namawiać do jedzenia. Co ją mogło tak nagle tknąć? Z tymi przemyśleniami sięgnęłam po wcześniej niedojedzoną brzoskwinie i wraz z mamą ruszyłam w stronę auta.

*

- Dobrze, teraz zdejmij koszulkę a ja cię osłucham – powiedziała lekarka, biorąc stetoskop z biurka.

Gdy tylko odwróciła się i zobaczyła siny na moich plecach, zbladła niesamowicie. Wyglądała niczym kościotrup. Gdy skończyła przykładać urządzenie do mojego kręgosłupa, uśmiechnęła się delikatnie.

- Czy mogłabym z Panią pomówić na osobności? – orzekła, patrząc na moją mamę.

- Oczywiście, poczekam na zewnątrz - rzuciła w odpowiedzi moja rodzicielka, zabierając torebkę i wychodząc z pomieszczenia.

- Kiedy i co ostatnio jadłaś – zaczęła pani doktor, patrząc mi prosto w oczy.

- Dziś rano. Brzoskwinie.

- Nie za mało jak na śniadanie?

- Zwykle tak wyglądają moje posiłki.

Usłyszałam, jak kobieta cicho wzdycha.

- Jestem przekonana, że regularnie się ważysz. Jak wygląda twoja waga teraz?

Wahałam się z odpowiedzią. Wiedziałam, że gdy odpowiem, wyśle mnie do jakiegoś ośrodka pomocy dzieciom z zaburzeniami odżywiania. Wiedziałam też, że jeżeli nie odpowiem, ona sama się tego dowie. Musiałam więc zaryzykować.

- Trzydzieści dziewięć. Wczoraj jeszcze czterdzieści dwa.

Kobieta przez moment się nie odzywała. Po kilku minutach jednak oznajmiła:

- Kochanie, masz zaburzenia odżywiania. Wskazuje to na anoreksję. Od jak dawna tracisz na wadze, a twoje posiłki ograniczyły się do takiego minimum?

- Kilkanaście miesięcy temu.

- Z tego, co zauważyłam po śladach na twoich plecach, uprawiasz dużo sportu.

- To mi pomoże.

- W czym?

- Po prostu chcę wyglądać pięknie. Dla siebie, dla mamy. Chcę wreszcie czuć się dobrze w swoim ciele.

- Ale w ten sposób niszczysz siebie w fatalny sposób. Nie chcę cię przerażać, ale jeżeli tak dalej pójdzie, zostało ci niewiele lat, może nawet miesiące życia.

I w ten sposób, tym ostatnim zdaniem wypowiedzianym przez panią doktor, zrozumiałam coś, czego nie potrafiłam pojąć od dawna.

To nie zadziała na moją korzyść. Będzie tylko gorzej, jeżeli nie zacznę walczyć o siebie.

Obsesyjnie tracąc na wadze, nie stanę się modelką z wysportowanym ciałem.

- Znam ośrodek za miastem, w którym przebywają twoi rówieśnicy z podobnymi problemami. Wiedz, że to może być ciężkie, ale...

- Pojadę tam – wtrąciłam, spoglądając na kobietę. Dostrzegłam lekki uśmiech na jej twarzy.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę. Myślę, że twoja mama będzie dumna z tej decyzji.

- Właściwie moja mama...

- Rozmawiałam z nią przed wizytą. Jest zmartwiona tym, w jakim stanie jesteś.

Nic w całym moim życiu nie wywołało we mnie tak wielkiego zdziwienia jak fakt, że moja mama rzeczywiście jest zatroskana o moje zdrowie. Sama często rzucała mi kłody pod nogi w postaci pokazywania sylwetek szczupłych modelek i wmawianie mi, że nigdy nie będę nawet w połowie tak piękna. To, że teraz zwróciła uwagę na to, jak wyglądam, to prawdziwy cud.

- Wróćcie do domu, spakuj się i jeszcze dziś pojedziesz. Sześć tygodni walki samemu ze sobą, ale uwierz, ludzie wychodzą stamtąd krzycząc, że to niewiarygodne.

- Dziękuję, pani doktor.

Gdy opuściłam gabinet, ujrzałam moją mamę siedzącą na jednym z foteli w recepcji. Jej oczy były przekrwione, a ona chusteczką ścierała łzy, które ciurkiem leciały jej po policzkach...

Nie mogę w to uwierzyć. Ona naprawdę przejęła się moim zdrowiem. Gdy tylko mnie zobaczyła, ostatni raz przetarła twarz, a następnie podbiegła do mnie i rzuciła się w moje ramiona.

- Przepraszam cię za wszystko – szepnęła, całując mnie w czoło – pojedziemy dziś do ośrodka – kiwnęłam na te słowa głową.

*

- Wszystko masz? – zapytała moja rodzicielka, wychodząc z auta.

Byłyśmy już na miejscu. Budynek wyglądał dość przytulnie. Przed domem widziałam innych nastolatków, którzy jedli posiłek, wypoczywali albo się rozciągali.

- Tak, dziękuję, Poradzę sobie. To tylko sześć tygodni – oznajmiłam, jednak wewnątrz cała drżałam. Stresowałam się tym, że będę przebywać w tym miejscu razem z innymi nastolatkami wyglądającymi jak ja. Nigdy nie widziałam jeszcze nikogo z tym samym problemem, z jakim się borykam.

- Hej, wszystko będzie dobrze. Wrócisz odmieniona. Przyjadę tu za sześć tygodni i nie będę mogła uwierzyć – „wow, to naprawdę moja córka!” – zaśmiałam się cicho.

Przytuliłyśmy się, a następnie skierowałam się w stronę dużych drzwi, które były otwarte na oścież, bo co chwilę ktoś nimi wchodził bądź wychodził. Zaraz przy wejściu było coś na kształt recepcji. Podeszłam do kobiety siedzącej tam za wielkim biurkiem.

- Imię, nazwisko – zapytała, a gdy podałam odpowiednie dane, wręczyła mi klucz od pokoju. – Rozgość się i czuj się jak w domu. Za pół godziny kolacja, a po kolacji – zajęcia integracyjne. Tam się ze wszystkimi zapoznasz. – podziękowałam cicho i ruszyłam na piętro, gdzie znajdować się miał mój pokój.

07.11.2020

Minęło 40 dni od mojego przyjazdu. To dziś wejdę na wagę po raz pierwszy od prawie półtora miesiąca. To miejsce wcale nie okazało się takie złe, jak przypuszczałam. Już pierwszego dnia mogłam rozwiązać wszystkie moje obawy, dotyczące tego że „z pewnością wygląda jak szpital psychiatryczny”, a „nastolatki z pewnością tu sobie nie radzą, ja też sobie nie poradzę”. Rzeczywistość okazała się zupełnie inna, zostałam przez nią miło zaskoczona. Te 40 dni sprawiły, że naprawdę poczułam się jak w domu. Wszyscy są tu tak przyjemni i troskliwi, że moje serce łamie się, gdy myślę z czym się borykają. Zawsze zachowują pogodę ducha mimo tego, że i oni usłyszeli, że zostało im kilka miesięcy życia. Tutaj wszyscy jesteśmy jak jedna rodzina. Jedna rodzina przeciwko jednemu problemowi – zaburzeniom odżywiania. Tę walkę stoczyliśmy razem.

Gdy tylko znalazłam się na wadze, poczułam lekki niepokój. A jeżeli znów zacznę panikować? Moje wariactwo wróci? Czy ponownie sobie poradzę?

-Wszystko jest w porządku – powiedziała z otuchą psycholożka, z którą dwa razy w tygodniu widziałam się na zajęciach indywidualnych. To ona w głównej mierze również przyczyniła się do tego, że zmieniłam sposób postrzegania siebie.

- Czterdzieści dziewięć i pół. Kochanie, udało się. – oznajmiła kobieta, wyczekując mojej reakcji.

- Je..jestem zdrowa? – zapytałam, wciąż nie dowierzając.

Gdybym dwa miesiące temu usłyszała, że moja waga wynosi czterdzieści dziewięć i pół, katowałabym się na śmierć, byle pozbyć się tych kilogramów. Najwyraźniej potrzebowałam pomocy psychicznej, która uchroniła mnie przed tym szaleństwem. Gdy teraz dotarło do mnie, ile udało mi się przytyć, czułam prawdziwe szczęście. Autentycznie. Nie mogę opisać tego, jak wielką radość czułam, słysząc te słowa. ‘udało się’ – szepnęłam w myślach.

-Pamiętaj, by nie wychodzić z rytmu. Wiesz, jak wygląda zdrowy jadłospis i aktywności fizyczne, jakie powinnaś uprawiać. Widzisz, ile już osiągnęłaś? Jestem ogromnie z Ciebie dumna. A będzie tylko lepiej.

Ja też się czułam dumna. Wiedziałam, że ta droga nie była łatwa, ale pokonałam ją.

- Nie mówiłam Ci o tym wcześniej, ale twoja mama zaraz po tym jak odwiozła cię do ośrodka, sama zapisała się na terapię. Ona również potrzebowała zrozumieć parę rzeczy. Z tymi słowami psycholog zostawiła mnie samą w pomieszczeniu.

Zdziwiły mnie jej słowa. Czy naprawdę mama zrozumiała, jak mnie raniła? W tamtym momencie jednak te pytania nie grały roli. Zaraz miała przyjechać i miałam ją zobaczyć po raz pierwszy po sześciu tygodniach.

Założyłam z powrotem ubrania i udałam się do holu, gdzie czekały wcześniej spakowane przeze mnie walizki. Chwilę później na podjeździe zobaczyłam samochód mamy.

- Będziemy tęsknić, mała – westchnęła recepcjonistka, przytulając mnie na pożegnanie

– Wykonałaś kawał dobrej roboty.

- Te słowa wiele dla mnie znaczą. Dziękuję – odpowiedziałam.

Zabrałam torby i ruszyłam do wyjścia. Gdy tylko mama się odwróciła, by mnie zobaczyć, zamarła. Nie wiedziałam, czy była zaskoczona tym, jak wyglądam, czy już rozpacziała nad tym, że przytyłam. Wszelkie te wątpliwości zostały rozwiane, gdy po chwili rzuciła się w moje ramiona, trzymając najmocniej, jak się da.

- Wyglądasz cudownie. Jestem z Ciebie ogromnie dumna – szepnęła, całując mnie w czoło.

- Dziękuję. Dziękuję za wszystko, mamo.

Włożyłyśmy bagaże do auta, a następnie ruszyliśmy prosto. Prosto do nowego, lepszego życia. Mimo że osiągnęłam zamierzony cel, to walka wciąż się toczyła. Ale ja nie zamierzałam się poddać.

*

30 lat później...

- I tak to mniej więcej wyglądało – powiedziała kobieta, odkładając stary dziennik na parapet.

- Mamo, nigdy nie spodziewałam się, że gdy byłaś w moim wieku borykałaś się z takimi problemami. Dlaczego nigdy wcześniej nie mówiłaś? – szepnęła dziewczynka, przytulając się do mamy.

- Czekałam na odpowiedni moment, aby przeczytać ci fragment z mojego pamiętnika, który pisałam w trakcie choroby. Wiesz, mimo że minęło już kilkadziesiąt lat od tego wszystkiego, ludzie z zaburzeniami odżywiania nigdy z nich nie wyjdą. To choroba psychiczna. Może minąć nawet pięćdziesiąt lat, a nasza walka będzie wciąż trwać. Sztuką jest, żeby nie dać się przeciwnościom.

- Ty sobie poradziłaś, mamo.

- Walczyłam każdego dnia, o każdą minutę. Teraz, gdy to wszystko wydaje się już tak odległe, pragnę przekazać ten pamiętnik Tobie.

- To twoje własne, prywatne zapiski. Nie wiem, czy jestem gotowa, aby mieć je w swoim posiadaniu.

- Oczywiście, że jesteś. Gdy tylko w życiu będziesz miała trudne chwile i nie będziesz wiedziała, co zrobić dalej, zajrzyj właśnie do niego. W każdym rozdziale znajdziesz odpowiedź, niezależnie od tego, jaką walkę będziesz toczyć – wszyscy mamy te same problemy, tylko w innej postaci.

Michał Zawojski, Maksio - najlepszy przyjaciel Maćka

Pewnego dnia Maciek siedział przy biurku w swoim pokoju i czuł się bardzo samotny. Był jednakiem, blisko związanym ze swoimi rodzicami, miał wielu przyjaciół, w towarzystwie których świetnie się czuł, ale były takie chwile w jego życiu, że chciał mieć coś swojego, coś co będzie tylko jego. Długo nad tym myślał, aż poczuł, że najlepiej byłoby, gdyby miał jakieś zwierzątko, którym będzie mógł się opiekować i które będzie kochał tak bezwarunkowo. Od razu poszedł do mamy i opowiedział jej o swoich marzeniach i planach z tym związanych.

Mama była zadowolona z jego pomysłu. Zapytała Maćka, jakie zwierzątko chciałby mieć. Chłopiec nie był pewien. Obawiał się, że ten pomysł nie spodoba się jego tacie. Gdy był małym chłopcem, często prosił rodziców, aby mógł mieć w domu jakieś zwierzątko, ale zawsze słyszał, że teraz nie jest dobry czas na takie rzeczy.

Gdy tata wrócił z pracy, chłopiec poprosił go o rozmowę. Niestety pomysł z nowym lokatorem domu nie spodobał się. Maciek był bardzo smutny z tego powodu, zaczął płakać i pobiegł do swojego pokoju. Po jakimś czasie mama przyszła do niego i zaczęła go pocieszać. Chłopiec nie zdawał sobie sprawy z tego, że posiadanie zwierzęcia to duży obowiązek. Trzeba się nim codziennie zajmować, dbać o niego, jeździć do weterynarza. Maciek z wielkim entuzjazmem powtarzał, że jeśli tylko rodzice zgodzą się, on będzie to wszystko robił.

Maciek musiał teraz wybrać, jakie zwierzątko chciałby mieć. Pierwszym pomysłem było kupno jaszczurki. Jego kolega Tomek od trzech lat jest właścicielem takiego zwierzątka i chłopiec pomyślał, że to będzie świetny pomysł. Niestety ten gatunek jaszczurki, jaki ma jego kolega (Gecko), ma jedną wadę, potrafi mocno gryźć. Pomyślał zatem, że może być ona groźna dla otoczenia i że to chyba nie jest najlepszy pomysł.

Kolejnym zwierzątkiem, o którym zaczął marzyć, był kot. Ale nie taki zwykły kot. Od zawsze podobały mu się te, które miały świecące ogonki. Szukał, jak się nazywają, ale to nie było takie łatwe. Okazało się, że te świecące ogonki to nie jakiś specjalny gatunek kotów, tylko pewna przypadłość, jaką mają koty. To był rodzaj choroby, na którą zdarzało się kotom zapadać. Biedny chłopiec spędził godzinę szukając informacji o tych ogonkach. Był bardzo zły, że nic nie znalazł, więc stwierdził, że skoro nie może mieć kota ze świecącym ogonem, to nie chce mieć żadnego. Poza tym wiedział, że za kotami nie szczególnie przepada jego tata, więc może się nie zgodzić, żeby w ich domu zamieszkał taki stworek. Jeszcze ze świecącym ogonkiem.

Kolejnym pomysłem chłopca było to, że chciał zostać właścicielem psa. I tutaj pojawił się kolejny problem. Jaką rasę wybrać?

Znalazł w internecie taką rasę, która nazywała się Cairn Terrier. To były dosyć małe pieski o rodowodzie szkockim. Kolega z klasy Maćka miał Cairn Terriera i opowiedział mu trochę o tej rasie psów. Maciek słyszał, że pies tej rasy to porywający i kochający zabawę towarzysz. Jest też zabawny i lubi bawić się z dziećmi. Psy te są odważne, sprytnie, ciekawe, ale bywają też złośliwe.

Dowiedział się jeszcze, że są otwarte wobec obcych, co trochę go zmartwiło. Mogą gonić inne zwierzęta domowe, ale mogą nauczyć się dogadywać z kotami. Dodatkowym atutem

tego psa była sierść przyjazna dla alergików, co w przypadku Maćka miało decydujące znaczenie. Teraz pozostało odpowiedzieć na pytanie: co powie tata?

Po kilku godzinach rozmów, rzucania argumentów, przekonywania, Maciek osiągnął pełnię szczęścia! Tata wyraził zgodę na psa! Maciek był bardzo wdzięczny i dumny z mamy, że pomogła jemu przekonać tatę. Chłopiec bardzo długo dziękował tacie za zgodę na kupno psa i nie mógł się doczekać, kiedy pojedzie z rodzicami po nowego lokatora.

Po kilku strasznie długich dniach udało się znaleźć szczeniaka w oddalonej o 4 godziny jazdy samochodem Pensylwanii. Rodzina zaplanowała podróż za trzy kolejne dni. Wyruszyli w podróż wczesnym rankiem, pełni obaw, gdyż pogoda nie sprzyjała takiej jeździe. Padał śnieg z deszczem. Najbardziej podekscytowany był Maciek. Nie mógł wytrzymać tych czterech godzin. Całą drogę patrzył nerwowo w telefon, szukał informacji o tej rasie psów i zadawał sobie w myślach pytanie: Czy ten pies mnie polubi? Czy będzie ze mną szczęśliwy?

Gdy już dotarli na miejsce od razu odłożył telefon i wysiadł z samochodu.

Podekscytowany chłopiec nie mógł się doczekać spotkania z małym towarzyszem. Tak długo na niego czekał. Zastanawiał się, czy malutki piesek będzie tęsknił za swoim domem? Podeszli wszyscy do drzwi i zapukali. Otworzyła im pani i przywitała. Weszli do domu i zobaczyli siedem małych szceniąt. Wszystkie malutkie i słodziutkie. Ale jeden wyglądał inaczej niż wszystkie. Serce Maćka zabiło mocniej, bo czuł, że to był jego szceniak. Wyglądał lepiej niż inne psy. Był idealny! O takim właśnie marzył.

Rodzice podpisali umowę i Maksio (bo tak w myślach nazywał go już od kilku dni) wyszedł z domu razem z Maćkiem i z jego rodzicami. Był wystraszony, ale jak tylko wszedł do samochodu, to poczuł się lepiej na kolanach Maćka. Chłopiec otulił go mocno, przez całą drogę nie odrywał od niego wzroku.

Gdy przyjechali do domu, piesek był jeszcze bardziej wystraszony. Zaczął biegać po całym domu. Nie wiedział, co ma zrobić. Maciek podszedł do Maksia i zaczął go głaskać. Maksio przestał biegać i poszedł spać.

Następnego dnia, Maciek obudził się z Maksem na twarzy. Był czas na szkołę, ale on nie chciał zostawić Maksia samego. Powiedział mamie, że go boli brzuch i że nie może iść do szkoły. Mama wiedziała, że on kłamie, ale pozwoliła mu zostać z Maksem w domu.

Maciek zaczął biegać i gonić Maksia, ponieważ on ukradł mu skarpetkę. Chłopak biegał za nim prawie dziesięć minut. Gdy mama wróciła z pracy i dała Maksowi jeść. Maciek był zaskoczony, że mama zabrała skarpetkę psu w trzydzieści sekund, a jemu zajęło to dwadzieścia minut. Maks uwielbiał tę zabawę i chciał to powtórzyć. Gdy mama niosła

skarpetkę do prania, on podskakiwał i ją zabierał. Mama zaczęła się śmiać, bo domyśliła się, że Maciek będzie chciał pobiec za Maksem. Mama zawołała Maćka, aby przyniósł swoją skarpetkę. Jedną znalazł, a drugą miał Maks. Biedny Maciek biegać za Maksem i zabierał mu skarpetki. Tak się zmęczył, że z wyczerpania padł na kanapę i zasnął. Spał cały dzień i część nocy. Gdy się obudził, Maciek nie wiedział co ma zrobić. Wybiła północ na zegarze, a Maciek przypomniał sobie, że ma pracę domową do szkoły. Był bardzo zmęczony, ale wykorzystał wszystkie siły i zrobił tę pracę. Maksio położył się potem obok Maćka i razem zasnęli.

Następnego poranka obudził Maćka odgłos szczekającego pieska. Maksio czekał nad porwaną pracą domową. Maciek wstał i szybko pobiegł do Maksa. Był bardzo zdenerwowany i nie wiedział, co ma zrobić. Mama powiedziała, że już muszą jechać do szkoły, bo będzie spóźniony. Maciek pomyślał sobie, że będzie głupio jak powie nauczycielce, że pies zjadł mu pracę domową. Na pewno mu nie uwierzy i dostanie jedynekę.

Nadszedł czas, aby Maciek poszedł do klasy. Mieli prezentację, ale przecież Maksio zjadł mu wszystko. Chłopiec był przerażony. Nagle nauczycielka zawołała go. Zaczął mówić wystraszonym głosem: „Mój pies zjadł dzisiejszą pracę domową”. Nauczycielka na to: „Maciek, przecież ty nie masz psa!” Maciek zaczął drżącym głosem: „Wczoraj z rodzicami pojechaliliśmy do Pensylwanii po małego pieska, ma osiem miesięcy i nazywa się Maks.” Ufff!

Na szczęście udało się. Pani zaufała Maćkowi i uwierzyła w jego słowa. Co prawda była niezadowolona i trochę zła na niego, ale powiedziała Maćkowi, że ma tę pracę mieć na następny dzień zrobioną. I na koniec zażartowała: „I niech ci pies tego nie zje!” Maciek był przerażony tym, że musi wszystko zrobić jeszcze raz i ma tak mało czasu.

Chłopiec wrócił do domu i tam zobaczył Maksa, który machał radośnie ogonem. Ucieszył się na jego widok i cała złość za zniszczoną pracę domową uleciała nie wiadomo gdzie i kiedy. Chłopiec poszedł do pokoju, a tam była niespodzianka. Okazało się że nie zauważył, że Maks nie zjadł jego pracy, tylko zjadł pracę z zeszłego tygodnia, która leżała obok. Maks przyniósł tę pracę na Maćka łóżko. Chłopak wybaczył Maksowi.

Nadszedł czas na pierwszy spacer Maksa. Piesek był bardzo podekscytowany. Maciek zresztą też. Wyszedł na dwór z Maksem i od razu zobaczyli innego psa. Maksio zaczął szczekać aż w końcu smycz się zerwała i Maks był na wolności. Zaczął biec w stronę dużego psa. Maciek był przerażony. Krzyczał na Maksa, ale on nie reagował. Biegł w kierunku psa, który nagle zniknął. Na szczęście pies zdążył wejść do domu, a Maćkowi udało się złapać Maksa. Pobiegł szybko do domu i wziął kolejną smycz. Przypiął ją do obroży Maksa, ale

Maksio nie chciał już iść. Nie ruszał się i siedział na ulicy. Chyba się zbuntował. Chłopiec zabrał swojego pupila na ręce i zaniósł go do domu.

Dni mijały, Maks rósł, Maciek z każdym dniem kochał swojego zwierzaka bardziej. Uwielbiał się z nim bawić, chodzić na spacerunki i grać z nim w piłkę. Okazało się, że Maks był świetnym sparingpartnerem. Był szybki, zwinny i trudny do zatrzymania. No i tak jak Maciek uwielbiał piłkę nożną. Czas mijał im szybko na wspólnych zabawach i psikusach.

Pewnego dnia mama wróciła do domu i nie miała dobrych wieści dla chłopca. Okazało się, że była w szkole na wywiadówce i dowiedziała się od wychowawczynie, że Maciek miał same złe oceny. Trudności w nauce zaczęły się wtedy, gdy Maksio się pojawił w ich domu. Rodzice chłopca stwierdzili, że jeśli nie będą poprawione oceny z matematyki i z historii to Maks będzie musiał opuścić ich dom, bo chyba jest przyczyną złych stopni chłopca. Maciek zapewniał, że tak nie jest, a Maksio jakby rozumiał, położył się spać i nie chciał tego słuchać. Mama powiedziała Maćkowi, że jeśli jeszcze jedna zła ocena pojawi się w dzienniku, to Maksio będzie oddany do schroniska.

Następnego dnia Maciek miał sprawdzian z historii. Bardzo się martwił, czy uda mu się zdobyć dobrą ocenę, uczył się kilka godzin. Poza tym myślał o tym, co mu powiedzieli rodzice i martwił się, że Maks nie będzie już jego. Przez tych kilka wspólnych miesięcy stał się jego największym przyjacielem. Wiele rzeczy robili razem. Naprawdę nie chciał, aby tak po prostu poszedł sobie. Jednocześnie czuł, że zawiódł rodziców, bo nie przykładał się do nauki. Pomyślał, że musi to zmienić za wszelką cenę!

To go bardzo zmotywowało i okazało się, że na teście z historii miał najlepszą ocenę w klasie. Jak wrócił do domu, pochwalił się rodzicom. Rodzice powiedzieli Maćkowi, że oni by nigdy nie oddali tego słodkiego pieska, ale Maciek musi stać się bardziej odpowiedzialny. Powiedzieli tak tylko po to, aby chłopiec postarał się i aby poprawił oceny. Mama wiedziała, że Maksio to najlepszy przyjaciel Maćka, więc wtedy pomyślała, że jak powie synowi, że zabierze Maksa, to on się postara i na pewno poprawi oceny.

Maciek i Maks to dzisiaj najlepsi przyjaciele. Gdy Maćkowi jest smutno, przytula się do Maksa i świat staje się bardziej kolorowy. Gdy Maksowi jest smutno, to on z kolei przytula się do chłopca i też jest mu lepiej. Maciek uważa, że rozumieją się bez słów i że ich przyjaźń będzie trwała wiecznie.

Uczniowie szkół ponadpodstawowych

Poezja

Zuzanna Madurska, *Lśnienie* z cyklu *Korespondencje*

widziałam bursztynowego ptaszka

niemal identycznego

jak opisałeś

chciałam go

chronić

otoczyć

wziąć w dłonie

lecz był zbyt kruchy

dlatego na złoto-krwistej gałązce

zbudowałam gniazdo

i zastanawiam się Tadeuszu

czy nim deszczem wyleją lazururowe potoki

nasz ptaszek choć raz

będzie mógł

będzie chciał

z tego gniazda

skorzystać

Zuzanna Madurska, *Pasażer linii T* z cyklu *Korespondencje*

okrzyknęli Cię demoralizującym

i wybrali spośród innych poetów

na zdobywcę zaszczytnego miana
niszczyciela wartości społeczeństwa

bo bawiłeś się życiem?
igrałeś ze słowami?

a ja Cię podziwiam za wszystkie
szaleństwa
za duszę futurysty w ciele naznaczonym
i śródmiejskie rewelacje

byłeś zagadką jesteś tajemnicą
po części odkrytą lecz na wpół poznaną
balansowałeś między licznymi pokusami
zatrzaśnięty w taksówkach
pod nieskończonym niebem

z musującym ciałą wnętrzem
jak rwący potok niepowstrzymany
na przedniej platformie tramwaju
pędzący w miasto
na wskroś miastem przesyty

Panie Julianie, proszę się odwrócić
przecież wszyscy niedoskonali
mamy w sobie piękno

niech Pan spojrzy na mnie
chcę zaprosić Pana
na wino równie słodko-gorzkie
jak ciemnoczerwone czereśnie i ich drobne
pestki

Zuzanna Madurska, *Liryczne pociechy* z cyklu *Korespondencje*

miałas rację
tutaj jest pełno wszystkiego
lubię być pod otwartym niebem
kiedyś chciałabym być w nim
lecz w życiu tym mnóstwo jest pociech
każdego dnia coraz więcej

może kiedyś zgromadzę je wszystkie
może będzie ich sto
na razie obserwuję świat
lecz te
wyproszone wymodlone
chwile
nie mogą długo trwać
żadna kolejna cisza nie jest
taka jak poprzednia

staralam się kontynuować twoją pracę
szukać odpowiedzi na
naiwne pytania
lecz nie potrafiłam do nich dojść

chyba nigdy nie dotrę

nigdy też nie miałam kota

lecz rozrzucam papiery po całym pokoju

a one spadają

na podłogę

w której psia łapa wyryła

głębokie rysy

czy kiedyś opuści mnie trema?

ty jesteś już wolna

twoje wszystko wśród prozy

to najczystsza poezja

droga Wisławo

dzięki tym słowom istniejesz

nieustannie w mojej pamięci

jesteś Ty

fragment świata

utrwalone słabą ręką myśli

i wypowiedziane silnym tonem

niewinne rozkazy

Nadia Pacocha, *Idealny uczeń*

Idealny uczeń planował całe swoje życie, od początku, nic nie mogło pójść w inny sposób, kontrola sytuacji była jego priorytetem.

Idealny uczeń nigdy nie narzekał jako dziecko, doceniając i celebując każdą chwilę radości, mając świadomość tego, że kiedyś ją straci.

Idealny uczeń, jako małe dziecko, dołączył do lokalnego klubu wolontariatu, by wzmocnić swe morale społeczne.

Idealny uczeń łamał wszystkie zasady, z wyjątkiem rutyny konserwatywnego zarabiania pieniędzy, (idź spać o 21, nie ucz się tyle, nie spędzaj każdego popołudnia w bibliotece, rozmawiaj z ludźmi...)

IQ i poziom wiedzy idealnego ucznia zawsze powinny być wyższe od jego możliwości.

Idealny uczeń posiada wykształcenie polityczne, lecz unika kontrowersyjnych debat [o wiele więcej jest 'lepszyc' tematów, takich jak zdrowe odżywianie czy aktualny stan ciśnienia atmosferycznego]

Idealny uczeń zawsze cytuje sprawdzone źródła, gdyż jego wiara we własny umysł jest pełna nieściskości.

Idealny uczeń odrzucił wszystkie swoje marzenia, wrzucając je do ognia, który rozpalił ciężką, mechaniczną pracą.

Idealny uczeń musi mieć stypendium, dzięki któremu zrealizuje swoje cele, wciąż nieprzynoszące mu ani jednego ziarenka szczęścia.

Idealny uczeń kocha swój kraj za zniszczenie go.

Włosy idealnego ucznia nie są tak lśniące jak w dzieciństwie, a jego skóra nigdy już nie będzie perfekcyjnie gładka, gdyż idealny uczeń poświęca cały swój czas na naukę, a nie na prozaiczne czynności mające na celu zmylenie wzroku.

Idealny uczeń topi się w kawie każdego ranka, lecz głosi abstynencję od narkotyków, wiadomo jednak, że idealny uczeń musi nagiąć kilka zasad, aby w miarę poprawnie funkcjonować.

Idealny uczeń codziennie przepuszcza swoje pasje przez rozklekotaną, starą maszynę myśli, aby zniszczyć te niepotrzebne, zajmujące cenny czas.

Idealny uczeń pomaga starszym osobom uniknąć zgiełku ulic, cały czas marząc o tym, by klaksony samochodów były idealnym żartem, do jego śmierci przy dźwiękach Brahmsa.

Idealny uczeń nie może być głuchy jak Beethoven...

Lista posiadania idealnego ucznia ogranicza się do podręcznika odpowiedniego dla jego

aktualnej klasy i przewlekłej choroby psychicznej.

Idealny uczeń nie jest poetą, artystą, ani człowiekiem, a raczej nowatorskim inżynierem zafascynowanym wszelkiego rodzaju systemami, zafascynowanym tym, czym się stał [według dorosłych jest bystrym, młodym osobnikiem, trybiki w jego głowie każą grzecznie potakiwać na to stwierdzenie].

Idealny uczeń gra na pianinie, gitarze lub skrzypcach, w grze zwanej życiem, w której jego przodkowie i przyjaciele ponieśli niezaprzeczalnie straty.

Idealny uczeń boi się porażki.

Idealny uczeń uwielbia matematykę i nieustannie próbuje wymyślić równanie na wymagany przypadek jego istnienia.

Idealny uczeń zaplanował przyszłość z idealnym domem w centrum miasta, lecz w głębi duszy wolałby biedny grób na przedmieściach.

Idealny uczeń wygrywa z perspektywy innych, i według diagramu jest na pierwszym miejscu.

Z idealnym uczniem nie można stworzyć idealnego związku, ponieważ idealny uczeń ma aż nazbyt realną reprezentację intuicyjnego myślenia wstecznego.

Idealny uczeń na nadzieję na idealne życie, z tym że idealny uczeń nie wie gdzie i kiedy powinien się zatrzymać.

Nadia Pacocha, *Słowa prawdy*

Widziałam amfibolię na ich językach,

Widziałam bezgraniczne oddanie,

W końcu zobaczyłam kult, do którego należą,

A potem widziałam już tylko strach.

Oczy można zawsze oszukać, mózg też łatwo się poddaje,

A ludzie nie są świadomi.

Nie rozumieją, że w obfitych stogach siana nie gromadzi się igieł.

Tam ukrywa się skarby.

Przy odrobinie szczęścia zwyciężyłaby mądrość,

Życie zostałyby objęte ubezpieczeniem.

Podobnie jak najwięksi zbrodniarze, nasze myśli zostały zamknięte za kratami.

Wycieczki późną nocą stały się powszechne,
Złowrogie twarze rzucają światło na chodniki,
Nasze serca uderzają w podkreślenie do pościgu,
Kiedy słyszymy kłamstwa na korytarzach podświadomości.
Emocje nie są aż tak złe, prawda?
Wszyscy jesteście przytłoczeni odrętwieniem.
Różni ludzie walczą o nasze wsparcie, ciągną za sznurki jakbyśmy byli latawcami.
Nie myślmę więc o ich głupocie.
Istnieje wiele trudnych rzeczywistości, wiele prawd,
Ale to nie znaczy, że nie chcemy zmian.
Od zawsze istniała dziwna klasyfikacja,
Lecz teraz wyraźnie żyjemy w wyobcowaniu.
Bransoletki przemieniają się w łańcuchy i zwracamy się przeciw sobie.
Każdy nowy cykl przecina sznur i ponownie zaczynamy poznawać zapach nowego istnienia.
Radość to strata, na którą nie możemy sobie pozwolić.
Czy szczęście to naprawdę grzech,
Kiedy teraz nie możemy nawet mówić?
Jeśli to tylko hipokryzja,
To dlaczego nie jesteście warci więcej niż skowyczący pisk?
Strach nas zmanifestował,
To jedyna rzecz, którą mogę przypuszczać,
Natrętne myśli bez końca nas besztają,
A zapętlenie zdaje się nie mieć końca.
Ciekawe co zrobiliby inni na naszym miejscu,
Zastanawiam się, czy w całej tej zagadce życia nie zgubiliśmy siebie.
Zastanawiam się czy ktokolwiek żałuje.

Nadia Pacocha, *Najmądrzejsze dzieci*

Kiedy dziecko pyta o śmierć, nie jest to prosty temat, nie jest to kaprys, który jest, no cóż, dziecinny.

Teoretycznie odpowiedź mieści się w pojęciu życia. To naprawdę przełamanie wszelkich zapewnień lepszej przyszłości, tego, co będzie możliwe, jeśli tylko poczeka się kilka lat, tego co zostało zaplanowane jako powierzchownie przyjemna nieuchronność.

Nieustannie wmawia się dzieciom, że ich dorosłe życie będzie magiczne, lecz najmądrzejsze z nich znają prawdę, wiedzą, że nie.

Najmądrzejsze dzieci nie potrafią samodzielnie chodzić do kina, być może po prostu nie chcą i zamiast tego skupiają się na metodach płacenia podatków, obcych cywilizacjach i "walce o przetrwanie" w świecie, o którym wiedzą tylko tyle, że nie jest im oddany.

Najmądrzejsze dzieci zdają sobie sprawę, że beztrudne dni, to dni, w których popełniły błąd tracąc czas na zabawę w berka, pogoń za szczęściem, jakiego w żaden sposób nie osiągną.

Najmądrzejsze dzieci ze strachem obserwują dorosłych i zastanawiają się, czy woda kapiąca im z oczu to dawno zapomniane łzy radości, czy raczej kolejny niemożliwy do rozwiązania problem.

Najmądrzejsze dzieci patrzą w lustro, próbując przewidzieć, co z ich dni ucieknie pierwsze.

Najmądrzejsze dzieci słuchają z uwagą wskazówek na temat tego, co się dzieje i co dzieć się będzie, ponieważ wąska alejka samopomocy jest ograniczona, dopóki za dwie dekady nie będą wędrować po szarym budynku z kajdanami oplecionymi wzdłuż nadgarstków, niczym bransoletki przyjaźni, utkane z cierpienia i nowych obowiązków.

Najmądrzejsze dzieci nie skupiają się na telewizorach, gazetach, niebie.

Najmądrzejsze dzieci karmią swoją energię wyidealizowanym dynamem dorosłości, trwając w błędnym przekonaniu, że wszyscy mają taką samą szansę, w planie zbyt teoretycznym, przypominającym bardziej jazdę próbną chwiejnym pojazdem.

Najmądrzejsze dzieci są przerażone, iż pomimo ich wysiłków, cały ich świat płonie, a oczy są zbyt poparzone fałszywymi obrazami, by mogły cokolwiek dostrzec.

Najmądrzejsze dzieci stają się zwyczajnymi, problematycznymi dorosłymi i szukają radości, na którą nie mogą sobie pozwolić w przesiąkniętym kapitalizmem świecie, zastanawiając się, co by się stało, gdyby postąpili inaczej.

Najmądrzejsze dzieci przygotowują się na swoją przyszłość, ale tak naprawdę, chcą tylko przed nią uciec.

Najmądrzejsze dzieci nie widzą różnicy między jutrem, a stu latami.

Najmądrzejsze dzieci wybierają śmierć.

Karolina Pianka, *Na wymiar*

Do małej filiżanki
przeleję wszystkie moje myśli.
Uraczę Cię naparem
o smaku istic egzotycznym.

(o ile interesuje Cię egzotyka mojej codzienności)

Spróbuj, opisz mi jej smak.
Tak bardzo chciałabym wiedzieć co skrywa.

Tak wiele skarbów ukrytych w ciele
szkatulek wypełnionych doświadczeniami.
starannie je uprzętam i segreguję
ustawiam na regale (zamówionym na wymiar)

Zamykam je i odstawiam
by już nigdy nie
wyciągać po nie ręki.

Karolina Pianka, *Manifest natury*

Będąc motylem
pragnęłabym usiąść na twoim nosie
delikatnie połaskotać Cię skrzydełkiem
wywołać uśmiech na twojej twarzy,
a potem delikatnie wznieść się ku górze
i zwiedzać płatki koron wszystkich kwiatów,
jakie wydał ten świat.

Będąc gąsienicą
wolałabym zejść Ci z drogi
nie pokazywać się w niedoskonałej formie
żyć spokojnie w swoim światku
móc popełniać błędy
i gromadzić złe doświadczenia,
które w przyszłości zostaną pochłonięte
histolizą i innymi procesami amnezji.

Będąc poczwarką
chciałabym wykrzyknąć całemu światu
jak bardzo jest niesprawiedliwy
dlaczego pozwala na istnienie takiej obłudy,

a mój manifest przeciw rzeczywistości
stałby się symbolem dojrzewającego pokolenia.

Siedzenie w kokonie męczy,
wyzwała pokłady dzikości,
otwiera oczy na wnętrze osobowości,
skłania do niewygodnych refleksji
na temat własnej natury.

Kokon wkrótce się rozpadnie
czy wyleci z niego egzotyczny morfid
czy zwyczajny cytrynek?

Karolina Pianka, *postludzie*

żyjąc w czasach post
nieudolnie próbujemy
naśladować prawdziwe uczucia

wykrzywiamy do siebie usta
zza szklanych ekranów
i nazywamy to szczęściem

czy to nasza wina że przyszło nam
trwać w czasach postbytu?

ilu z nas śni o beztroskich zabawach
rozmowach bez ironii i kłamstw
o wspólnocie łączącej zupełnie odmienne istoty
wspólnocie, w której czuje się oparcie

nikt z nas nie chce dźwigać tego kamienia
o ile łatwiej byłoby być

widzem niż
marnym statystą

Aleksander Wójcik, *Game over*

chciałbym ci powiedzieć dwa słowa

tylko dwa

które zmieniłyby bieg gry

dobrze jednak wiemy
że to ja przegram rundę
dlatego nawet się nie podejmę rozgrywki
nie po to żeby cierpieć

bez żadnego asa w rękawie
bez żadnej nadziei
nie wyrzucę odpowiedniej ilości oczek
nie zdołam przejść drogi do twojego serca

nawet jeśli spróbuję
to ty mnie pokonasz
rozpadnę się jak domino
szybko tak że nawet nie zauważysz
a ja nie podniosę się nigdy po tej porażce
i zostanę sam

dlatego już dziś
do puszki Pandory chowam
dwa potężne słowa...

Aleksander Wójcik, *Przyjaciółka*

zaprzyjaźniłem się z samotnością

jest taka cicha
niegroźna
czuję się z nią bezpiecznie

siedząc z samotnością

nie boję się że ktoś mnie skrzywdzi

nie boję się że zaboli

jestem tylko ja i ona

z samotnością nie jest głośno

mogę się delektować

dźwiękiem jednostajnej ciszy

której nikt nie zakłóci

bycie samemu

sprawia że czuję się doskonały

nikt mnie nie poprawi

nikt nie oceni

izolacja czyni mnie pewniejszym

silniejszym

bo w końcu mam kogoś obok siebie

samotność

mogę powiedzieć wszystko

wykrzyzczyć największe sekrety

i nikt ich nie usłyszy

a samotność zostawi je dla siebie

nie muszę wstydzić się siebie

nie muszę ukrywać

samotność rozumie

ona sama nie jest idealna

zaprzyjaźniłem się z samotnością
nigdy nie będę już sam

Aleksander Wójcik, *Ukryta w niebie*

W snach widuję oczy Twoje rozmarzone,

pełne pustej jak muszla nadziei.

Próbuję Ciebie dotknąć,

rozpoznać aksamit skóry,

ale to nie to samo.

Świat bez Ciebie stał się ponury.

Śpię dniami całymi, aby Cię widywać,

aby głos usłyszeć.

Niebo chowa pasma Twych włosów,

niebo chowa Twój uśmiech,

chowa niebo Twoje ciało,

niby jesteś,

ale tak jakby mi Ciebie brakowało.

Maliny zabrały róż z Twych ust.

Są jakby blade,

jakby bez tchu...

Proza

Helena Chwierut, *Cha-cha*

Około godziny siedemnastej dnia słonecznego do Herbaciarni na szczycie Góry Ludzkiej Głupoty wtargnął tłum amatorskich smakoszy. Przepychał się w granicach tamtejszej kultury i nie rozmawiał zbyt hałaśliwie, a kiedy usiadł przy stolikach, szybko zanurzył nosy w menu. Szereg kelnerów podążył rytmicznie, by przyjąć zamówienia. Lokal

wypełnił delikatny szmer głosów, wzbogacając unikatową już atmosferę o dodatkowe właściwości lecznicze. Suszone zioła i kwiaty, rozwieszane pod rzeźbionym sufitem, kołysały się majestatycznie muskane wiatrem. Klienci, oczekując pod nimi na swoje napoje, podziwiali nieprawdopodobny widok, wyglądając z otwartych na oścież okien. Prawdopodobnie z zewnątrz wyglądało to nadzwyczaj fotogenicznie, ale nie dowiemy się tego, gdyż wszyscy fotografowie siedzieli w środku.

Harmonię obszernego pomieszczenia zaburzał jednak niezdecydowany, długi i wąski człowiek, wiercący się na swoim osobistym fotelu wyściełanym jedwabiem w kolorze karmazynu.

- Herbata z płatków orchidei jest dla mnie zbyt prymitywna, aczkolwiek pociągająca - mamrotał. - Z kolei herbata z olejku eukaliptusowego, jak słyszałem, ma niesamowite działanie. - Poprawił mankiety. - Nie mogę się jednak oprzeć smakowi herbaty bursztynowej.

- A może pan jest już zdecydowany? - zapytał grzecznie zniecierpliwiony kelner jego towarzysza.

- Tak. Poproszę herbatę z lodów malinowych.

- Doprawdy nie rozumiem, jak możesz pić to pospolite świństwo.

- Mogę, Mistrzu, ponieważ mi smakuje - odrzekł powoli.

Szereg kelnerów, niemal tańcząc z tacami w rękach, przemieścił się do stolików, aby podać napoje. Fotografowie wyciągnęli wtedy swoje aparaty i prosili ich uprzejmie o pozowanie. Herbaciarnię przepełniły lśniące oraz gładkie zapachy, by z pomocą matowego podmuchu wiatru wypłynąć otworami okiennymi na pofałdowane zbocza ogromnej Góry.

- Wpadłem na pomysł - oświadczył długi człowiek. - Czy mógłbym prosić szefa kuchni o niepowtarzalne połączenie trzech wymienionych przeze mnie smaków z cienką warstwą posypki z cheddara i wiórków kokosowych?

- Naturalnie, Mistrzu Zao Daj - rzekł kelner, zgiął się wpół i bazgrząc poźółkłą kartkę notesu, oddalił się w kierunku pomieszczenia dla personelu.

Mistrz uśmiechnął się krzywo do swojego towarzysza, ten jednak zignorował go i kontynuował obserwację rzeźbionego sufitu. Powrócił przytomnie do sytuacji dopiero, kiedy znajoma postać postawiła przed nim porcelanową miseczkę, a para różowego płynu wpłynęła

do nozdrzy i orzeźwiła znudzony umysł. Pierwszy wniosek, jaki udało mu się sformułować, krytykował wygląd Mistrza. Siedział bowiem przed nim, wyprężony jak struna, wykonując drobne, mechaniczne ruchy rękami, które topiły się w zbyt obszernych rękawach i były niepodważalną oznaką zdiagnozowanej nerwicy natręctw. Mimo to całokształt Zao Daja stanowił osobno jedno wielkie natręctwo. Co chwilę poprawiał też fryzurę zapożyczoną od znajomych samurajów lub dwa cienkie pasma wąsów, z których lewe było znacznie dłuższe od prawego. Uczeń nigdy się nie dowiedział, czy była to zamierzona stylizacja. Zauważał jednak, że z dnia na dzień jest coraz bardziej irytująca.

- Czego mnie tak mierzysz wzrokiem, Bao? - obruszył się Mistrz, który nie dostał jeszcze swojego specjalnego naparu.

- Ach, nic, nic... - odparł tamten, szybciej niż zwykle. - Śmiej tylko cię ostrzec, że cały twój aksamit jest brudny.

Zao Daj obejrzał nerwowo ogromną ilość materiału zakrywającą jego cienką sylwetkę.

- To od podróży.

- Ja podróż przebyłem czysty. Okazuję w ten sposób szacunek dla ludzi, z którymi spotykam się zawodowo, w przeciwieństwie do ciebie.

- Tak ci się tylko wydaje. Nie możesz się przecież wybrudzić bardziej, jeśli nieustannie jesteś wymazany farbą - skrytykował. - Nie tego cię uczyłem. Nic dziwnego, że kompletnie nie mamy nowych zamówień. Psujesz nam reputację. Zapomniałeś, że tylko ja mogę to robić. To nowoczesny chwyt marketingowy.

- Nie zgadzam się z tobą, Mistrzu - odrzekł.

- Ty nigdy się ze mną nie zgadzasz. Mógłbyś zacząć się ze mną zgadzać. Może gdybyś się ze mną zgadzał, biznes wreszcie ruszyłby do przodu. Mój biznes, przypominam! Próbujesz nieustannie wgryźć się do zarządu. Co ty sobie wyobrażasz? Że przekażę ci tytuł mistrza? Nawet nie po moim trupie! I nie próbuj mi tu znowu opowiadać o innowacyjnych pomysłach i przyszłościowych projektach. Takie bajki to możesz snuć do snu siostrzenicom, a nie na poważnych spotkaniach biznesowych!

Baozi głośno wciągnął herbatę do ust i tak samo ją przełknął. Mistrz obruszył się i zmrużył swoje małe, ironiczne oczy.

- Nie siorb - syknął. - Wiesz, że mnie to denerwuje.

- Och, wiem - odparł uczeń i zachichotał zadowolony.

Wiatr dmuchnął silniej i przewiał wszystkie zapachy herbat przez pomieszczenie w tę i z powrotem.

Na koniec poruszył kwieciste girlandy tak, że kilkanaście płatków opadło na stoliki, a jeden jedyny poszybował do napoju Mistrza, falującego beztrąsko w porcelanowej miseczce na tacy samotnego kelnera. Ten ostatni zatańczył wdzięcznie i postawił naczynie na plecionej podkładce.

- Proszę, Mistrzu Zao Daj - rzekł kelner, zgiął się wpół i oddalił się w celu ratowania mężczyzny, któremu kilka minut wcześniej podano omyłkowo rum z herbatą zamiast herbaty z rumem.

Zao Daj powąchał napar, wziął miseczkę do swoich szczupłych rąk, przechylił ją ostrożnie do wąskich ust i wypił odrobinę, przymykając powieki. Posmakował chwilę, rozejrzał się, poprawił lewe pasmo wąsów i powtórzył czynności trzy razy. Towarzysz obserwował go w milczeniu, popijając swój smaczny napój. Nagle Mistrz zbladł, wytrzeszczył oczy, potem je zamknął, zarumienił się i błogo uśmiechnął. Odstawił miseczkę na blat, splótł palce i stwierdził niewyraźnie:

- Przepyszne.

Bao zdziwił się na taki widok Mistrza. Dyskretnie zawołał kelnerkę i poprosił o prywatną rozmowę z szefem kuchni. Ona skinęła tylko głową i oddaliła się, by po chwili wrócić w towarzystwie wcześniejszego kelnera.

- Ze względu na wyjątkowe okoliczności jest pan proszony do gabinetu, panie Baozi - dziewczyna uśmiechnęła się zalotnie, czemu nie należy się dziwić, gdyż słynny Uczeń był w istocie przystojny.

- Mistrz natomiast zostanie ze mną - wtrącił się kelner. - Nie chcemy narażać go na niepotrzebne niedogodności.

Błogi uśmiech Zao Daja zachwiał się podobnie jak całe jego wątłe ciało, a kiedy tylko kelner usiadł obok, Mistrz spadł na jego ramię i zaczął płakać jak dziecko.

- Rozumiem - odpowiedział Bao, mierząc go niepochlebnym wzrokiem, mimo że nie rozumiał niczego.

Wstał i skłonił się grzecznie w stronę kelnerki, jak przystało na prawdziwego kobieciarza z twarzą dżentelmena. Zarumieniła się, wymamrotała pod nosem kilka niezrozumiałych słów, a potem dyskretnie zaprowadziła Ucznia ku jego niepohamowanemu zaskoczeniu do pomieszczenia dla personelu.

Nigdy, przenigdy nie wpuszczano tam klientów. Zaraz za drzwiami siedział dyspozytor z ogromną księgą historii zamówień od samego powstania Herbaciarni, a po jego prawej stronie ciągnął się długi rząd pracowniczych foteli i szafek w stylu retro. Już poczuł się wyróżniony, kiedy kelnerka zawiązała mu oczy i oślepl na kilka długich minut. Przechodzili przez wiele pomieszczeń, schodów i krętych korytarzy. Nie mógł pojąć, gdzie cała ta przestrzeń się mieści. Czy jest we wnętrzu Góry? Nad nią? A może przemieścił się na zupełnie inny szczyt?

Wreszcie kelnerka zdjęła opaskę z jego oczu. Baozi wziął głęboki oddech i z ogromnym rozczarowaniem odkrył, że stoi dokładnie w tym samym miejscu.

- To wirtualna rzeczywistość. Jeszcze nad nią pracuję - wyjaśniła z nerwowym uśmiechem.

Przeszli przez jedyne drzwi w pomieszczeniu i Bao stanął w najbardziej szalonej kuchni, jakiej mógł się spodziewać. Ściany wyłożone były długimi półkami z nieskończoną liczbą słoików, torebek i pudełek, zawierających składniki fikuśnych herbat. Centralną część pomieszczenia zajmowały blaty ułożone w okrąg, a w jego środku bulgotał ogromny kocioł wrzącej wody. Z sufitu zwisały małe i wielkie donice z egzotycznymi roślinami, na parapetach ośmiokątnych okien stały wazon-y wypełnione tęczowymi motylami, a po podłodze biegała wściekła fretka.

Mała kobietka w podeszłym wieku zmierzyła Bao ostrym spojrzeniem. Nie zdążył nawet zauważyć, jak się znalazła w kuchni. Całkiem możliwe, że dopasowywała się do niej jak kameleon.

- Jak ty się nazywasz, chłopcze?

- Baozi, uczeń Mistrza Zao Daja - uklonił się.

- I przychodzisz tutaj zuchwale skarżyć się na moją herbatę?

- Ależ skąd, Mistrzynie Cha.

Cha rozejrzała się po kuchni, przeszła kilka kroków w stronę okna, zamysliła się, poprawiła kosmyk srebrnych włosów. Wzięła w ramiona swoją fretkę i przez chwilę wyglądała jak podrabiana "Dama z łasiczką".

- Słuchaj Bao Bao - staruszka miała krótką pamięć - Mistrz Zao Daj zamówił na życzenie unikatową mieszankę herbat, która ma na celu wywołać odurzenie. Będzie ono długotrwałe, ale niegroźne.

Mistrzynie herbat ani razu nie spojrzała na Ucznia, w przeciwieństwie do wścieklej fretki, która, zdawało się, chciała go przerobić na własną herbatę.

- Jeśli Mistrz będzie wyjątkowo uciążliwy - zmyślała dalej na poczekaniu, nie mając bladego pojęcia o nowo wynalezionym naparze - najlepiej położyć go spać. Możesz mu podsunąć kilka ząbków czosnku albo imbirową herbatę z miodem elfickim. Zao Daj ma teraz klawą wycieczkę! - zmarszczyła pomarszczone czoło. - No, to tyle. Dobry z ciebie chłopak - uśmiechnęła się od ucha do ucha i pomachała starczą, chudą rączką na pożegnanie.

- Dziękuję serdecznie, Mistrzynie Cha - zaświergotał.

Kiedy tylko opuścili pomieszczenie, szarmancko ucałował dłoń swojej towarzyszki i porzucił ją zarumienioną. Szybkim i drobnym krokiem wrócił do stolika, by odwołać tymczasową niańkę Zao Daja.

Odurzony malarz wyglądał teraz gorzej - zbladł i cały dygotał. Błogi uśmiech wciąż jednak pozostawał na swoim miejscu, podobnie jak przymrużone powieki i niezrozumiałe mamrotanie. Bao obserwował go przez chwilę. Musiał się zastanowić. Na herbatę z miodem elfickim w żadnym wypadku nie było go stać, a czosnek kołysał się pod sufitem wśród suszonych kwiatów i ziół. Po szybkiej kalkulacji podjął męską decyzję. Niezdarnie wlaź na stół, by sięgnąć po lekarstwo. Wbrew wysokiemu mniemaniu o sobie natychmiast stracił równowagę i z hukiem runął na ziemię. Zao Daj wybuchnął śmiechem, więc każde oko wewnątrz Herbaciarni momentalnie zwróciło się w stronę ekscentrycznej pary (oprócz delikwenta poszkodowanego rumem, on miał nieco zaburzoną percepcję). Policzki Baoziego stopniowo nabierały koloru pieczonego buraka.

- Mistrzu - zaczął - natychmiast przestań się śmiać. Bardzo proszę. Wszyscy na nas patrzą.

- Uwielbiam, kiedy ludzie na mnie patrzą! - zawołał Zao Daj podnosząc się z fotela wyściełanego jedwabiem. - Kocham być w centrum uwagi!

Na ułamek sekundy osiągnął pion i natychmiast go stracił. Poleciał więc jak ścinana sosna wprost na otrzepującego się Bao. Śmietanka towarzyska zgromadzona w Herbaciarni, zwykle zachowująca się nienagannie, teraz płakała ze śmiechu. Ośmieszeni malarze zostali zmuszeni do ucieczki. Nie sprzyjał temu w żadnym stopniu fakt, że tylko jeden z nich był tego świadomy. Drugi - w dalszym ciągu nie podniósł się z mozaikowej posadzki. Presja rosła, tłum nie potrafił się uspokoić. Bao stracił już wiarę w odzyskanie swojej godności, więc jeszcze raz podjął próbę wejścia na stół, stanął na palcach i urwał główkę czosnku. W tym momencie towarzystwo zamilkło. Uczeń, zdziwiony, że wywarł wrażenie, chciał uklonić się grzecznie, ale ktoś mu przerwał.

- Państwo mi przeszkadzają! Proszę wszystkich o ciszę!

Baozi zorientował się, że ten głos należy do Mistrzynie Cha, która stanowczym krokiem dotarła na środek sali. Zszedł więc najciszej, jak było to możliwe, a zaraz potem posadził Zao Daję na karmazynowy fotel, korzystając z okazji, że szefowa jeszcze go nie zauważyła. Gdyby zrobił to chwilę później, malarz udusiłby się ciężarem własnej głowy.

- Herbaty kruszą się pod wpływem takiego hałasu! - kontynuowała Cha. - Nie mogę tworzyć w takich warunkach! Gdzie się podział państwa szacunek dla mojej pracy?

Między stolikami zaczęły przemieszczać się szepty pokornych przeprosin.

- Nie mam zamiaru dłużej znosić takiego towarzystwa. Proszę, aby wszyscy goście wyszli - skwitowała stanowczo. - Bao Bao i jego Mistrz zostają, proszę sobie nie przeszkadzać - zwróciła się w ich kierunku, po czym zniknęła jak kameleon.

Na taką wiadomość zdumiał się nawet szereg rytmicznych kelnerów. Tłum amatorskich smakoszy, zazdrosnych o pozycję społeczną sławnych malarzy, posępnie wstawał z foteli i opuszczał lokal tysiąca zapachów, spoglądając z tęsknotą na niedopite herbaty. Mistrz ponownie się zarumienił i chyba chciał wybuchnąć śmiechem, więc Baozi sprawnie zatkał jego nozdrza dwoma ząbkami czosnku. Kichnął wtedy tak mocno, wyrzucając oba równocześnie, że z jego spojrzenia zniknęła wierzchnia warstwa mgły. Błysnęły oczy. Zao Daj zerwał się jak dzikie zwierzę. Wyprężył kręgosłup. Zwęził źrenice. Naprostował wąsy. Odrzucił energicznie ramiona do tyłu. Otrząsnął się jak mokry pies.

Wskoczył na stół jak kot. Szamańskim ruchem dłoni przywołał do siebie muzykę i zaczął: szaleńczą cha-chę.

Członki wirowały w powietrzu w zawrotnym tempie, Mistrz chygotał i dygotał. Rozgrzane do czerwoności bosc stopy wbijały nieszczęsny pod jego ciężarem mebel w podłogę, wspierające Herbaciarnię pale trzęsły się niczym osika, czerwone dachówki zaczęły odrywać się z dachu i staczać się po Górze. Zastęp kelnerów rozpierzchnął się po zboczach wzniesienia. Mistrzynie Cha, przeklinając malarzy, pakowała swoje bezcenne herbaty w pośpiechu przed apokalipsą na bordowe chińskie smoki, po cichu zadowolona ze stworzenia tak fenomenalnie wybuchowej mieszanki. Baozi, omdlewając ze strachu, złapał się kurczowo wścieklej fretki, kierującej zastępem mitologicznych stworów. Ta, spostrzegłszy pasażera na gapę, rozciąła pazurem jego łuk brwiowy, zrzuciła go brutalnie na czubek lokalu i odleciała.

Pod Zao Dajem wybuchł pożar. Dopiero wtedy otrzeźwiał, zawył z bólu i przerażenia, by wreszcie impulsywnie wyskoczyć przez okno.

Góra Ludzkiej Głupoty runęła. Grunt rozstał się, połknęło ją wewnątrz ziemi i strawiła ją lava. Na powierzchni zostały tylko rdzawe gruzy Herbaciarni, wtórujące barwą zachodzącemu w dolinie słońcu.

Baozi, cudem przeżywszy nietuzinkową katastrofę, po kilkudniowej śpiączce, kaszląc jak nałogowy palacz, próbował wygrzebać się z pobojuwiska. Kiedy padł wyczerpany na świeżo skoszoną trawę, porozcinany i poobijany na całej powierzchni skóry, osmolony kurzem i ubrany jedynie w strzępki swoich drogich szat, usłyszał jak z niebios głos Mistrza.

- Durniu, psujesz mi panoramę.

Zao Daj rozstawił sztalugę, czyste płótno i palety farb. Stał teraz przed nimi na palcach i smyrał kolorową powierzchnię drobnym pędzelkiem.

- No już, bierz mi się z kadru zanim słońce zajdzie!

Uczeń, czołgając się, zwinął swoje cztery litery z pola widzenia przełożonego i ukrywając się w krzakach dzwonił już do swojego towarzystwa ubezpieczeniowego, siostry, brata, matki i adwokata, którego którego matka mu poleciła.

Dominika Kowalska, *Słowokot*

Gdy przywieźliśmy naszą kotkę Pumę do domu, spodziewaliśmy się, że Puma będzie się bawiła z nami, może będzie spała na naszych kolanach i oczywiście zmieni nasz styl życia. Natomiast nie spodziewaliśmy się, jak bardzo pojawienie się kota w domu zmieni nasze codzienne słownictwo.

Od pierwszego dnia zaczęliśmy rozwijać naszą znajomość kociego. Już podczas jazdy ze schroniska do domu Puma miauczała przez całą drogę. Dziwiliśmy się trochę, bo to jej miauczenie nie było klasycznym kocim miauczeniem, brzmiało bardziej jak jakieś „miaaauf”. Dopiero po jakimś czasie Puma nauczyła nas, że gdy „miau” kończy się na „f”, to jej się coś nie podoba (w tym przypadku okazało się, że Puma nie lubi jazdy w samochodzie). Nauczyliśmy się też rozpoznawać różnicę pomiędzy „mrrrau” („jestem tak podekscytowana! chcę się bawić!”), a kocim szczekaniem („ten chrupek był pyszny, chcę więcej!”). Z czasem okazało się, że kocie dźwięki i zachowania Pумы zaczęły wzbogacać nasz słownik rodzinny. Puma ganiająca za chrupkami nie była już Pumą, tylko Szczekotem.

Niekiedy zmieniała się w Choinkę, bo zdarza się nam przestraszyć Pumę i, jak każda rodzina z kotem wie, kiedy kot jest przestraszony, jego ogon robi się bardzo puszysty. Kiedy to się dzieje u nas, mówimy, że Puma jest Choinką, bo jej ogon sterczy prosto do góry i jest strasznie nastroszony jak choinka.

Bardzo lubiliśmy bawić się z Pumą jak tylko wysunęła swój ciekawski nosk z tekturowego nosidelka ze schroniska, ale po jakimś czasie zaczęła się bawić dość agresywnie. Używała swoich pazurków i zębów, więc wtedy zaczęliśmy ją nazywać Gryzoniem (a gdy już się kompletnie na kogoś rzuca, staje się Gryzeldą Złośliwą). Czasami też Puma nas liże, a potem gryzie i znowu liże - wtedy jest Lizoniem (Gryzoniem, który też liże). Ale jeśli tylko liże, to jest Lizakiem.

Gdy Pumie się znudzi spanie i jest w nastroju do zabawy, staje się Atakotem. Zaczyna nas łąpać za nogi i potem ucieka. Na początku myśleliśmy, że Puma wie, że się nie powinno łąpać ludzi za nogi i ucieka, bo wie, że coś złego zrobiła i boi się, że będzie ukarana. Ale potem próbowaliśmy za nią ganiać i uznaliśmy, że Puma po prostu chce się bawić w berka. Zaczęliśmy nazywać tę grę grą w gryzonia, jako żart (ale tylko jak bawimy się z kotem, nie z ludźmi).

Nasza kotka lubi też skakać i jak skacze bardzo wysoko, to oczywiście zmienia się w Skokota. Jedną z jej ulubionych zabawek, które trzymamy półtora metra nad podłogą, żeby Puma ćwiczyła swoje skoki, jest Pan Wiewiór – koci pluszak – wiewiórka z supermarketu.

Czasem w Pumie odzywa się instynkt polowania. Gdy poruszamy jakąś zabawką, kot się na nią patrzy kątem oka, a potem bardzo powoli zaczyna się skradać, by nagle rzucić się na zabawkę. Więc taką czyhającą, czającą się Pumę nazywamy Czajnikiem. Podejrzewam, że jest niewiele domów na świecie, w których na co dzień można usłyszeć „uwaga na Czajnik w wannie!”, co znaczy, że kot czai się w wannie (jedno z jej ulubionych miejsc w domu) i będzie atakować, kiedy tylko da jej się szansę.

Teraz już tylko czekamy na dzień, kiedy kot uzna, że my wreszcie nauczyliśmy się kociego. Wtedy zdecyduje, że skoro my to zrobiliśmy dla niej, to ona wykaże się poczuciem przyzwoitości i nauczy się polskiego – i kiedyś rano przyjdzie, otrze się o nogi i powie „Miaudobry, co jest na śniadanie”?

Oliwia Pucek, *Ślub Doktora*

Chwiejny, podeszwy nie wspierały go w wytrzymaniu struktury pozycji niecierpliwie stojącej, dwunożnej stanowczo, krępującej, ciężkiej. Powierzchnia osłupiałego zespolenia do zimnych płyt, chętnie by zbadał ich faktyczny stan opuszką palca, możliwa chropowatość odwozła od wizji, jakże prostolinijnie ludzkiej, skakania czasu. Z nogi na nogę, później tylko zapętlenie w dziwny metal, obręcz, lśniąca szubienicę uporczywie wieczną, niepamięć. Ważyły się temperamenty Doktora, dawno i za chwilę na jednej spełniły się szali, w opozycji do aktualnie dzierżącej czas zguby, a bliżej, rozpatrując obunożne krawędzie średnika, wobec cudzej szczęśliwości, domniemanej. Sytuacja nie zachęcałaby nikogo do przyrzeczenia zaślubin, on natomiast – rozdarty altruista, skwapliwie lgnął do uściślenia nieskończoności dróg bytu swego, w materii przewrotnej, wyrzeczenia się, w miano tworzenia i rozkwitu, dla samego Doktora noszącej raczej wyraz antymaterii, co przyrzeczeniem swym przeżre mimikę jego naiwnych marzeń. Abstrakcje, jakie rozstrzeliwały głowę Doktora w wahadłowych spazmach niezgodności, zaprzeczenia, nie trącały zewnętrzności apatycznej prosperującego męża i manifestowały się w świecie cywilizowanym ściśle jedynie w owych drżących podeszwach, jakich nie nosił wcześniej, gdyż, podobnie jak całe jego czyhające życie, niełagodnie były dla niego nowe. Miał już niebawem nie poznać własnego zarostu w lustrze, uleczalnej spojówki, źrenicy, skroni, w zwierzeniu gładko lustrzanym spokojnie integralnego - Doktora. Drzwi, chowające zawiasowo wszystkowiedzące dreszcze, dwuskrzydłowym gestem scenicznego cynizmu, donośnie aprobowały farsę trzaśnięciem, panna młoda zjawiała się między kluczowymi zębami ich rozpartych zamasyście ust, niby duch, ciało jak kwiat zimne. Szczeliny wessały

zapobiegawczy haust lodowatości, będącej skutkiem ostatnich okraszonych bezdusznym szronem dni, suknia wydała się mężczyźnie symbiotyczna z chłonnym zapachem zatęchłej konserwacji grubych ścian kościelnych w zderzeniu z barwą mrozu; niczym mętniejąca kropla skapywała płynnie po kaskadzie wiekowo wypukłej.

Napotykałam niemały problem w kontekście zamażpójścia, dorastając w atmosferze bezsilności obustronnej, przeświadczenia nabyte dozwalały mi niemoc i konsternację na płaszczyznach czułych. Doktor był zaiste leczniczy, jak teleskop tropiący zdechłe gwiazdy, nie odkurzał zgnilizny spod mych drzwi, a zmiatał pod mój nos, bym mogła ją naprawić. Posklejane słoiki pełne pleśni należało wystrzelić w kosmos, on nie wiedział, że nie będąc w kondycji rozstać się z materiałami niejednoznacznie złymi, zachowywałam je pod pościelą globu, jakim była moja głowa. Ceniąc jego metody badawcze, dojrzałam, niestety może wraz z śmiercionośnymi kapsułami szklącymi się w zagięciach myśli.

Panienka dumna się zdawała i nieugięta, zaabsorbowana psychotą faktu, że koronki doświadczające jej uroczystego zasznurowania świadkowały i matce, uprzednio stróżując babce, prababce, a i wątpliwie głębszym kategoriom fundamentalnym kwiecica rodzinnej sinusoidy. Doktor nawiedzony przez rozchełstaną myśl o owianej niemalże legendarną troską sukni swej koleżanki, rozminął się w porównaniach niespodziewanie ciasno i nieprzyjemnie w nieznanym, wykrochmalonym stroju; w koszuli sterczącej i podłej kolorystycznie, jak nieoswojona, przemarznięta zaspą, pokłady podobnych pukały niepokojąco do kościelnych optymistycznych okien, w kanciastym, ostrym wręcz umundurowaniu, jakie pętało doktorskie tętno z pogranicza w tymże tragikomicznym komplecie. Torpedowo i nieznaczaco smętnie pomyślał, że jest z nim tożsamym, i z przekłętymi butami, zwiastującymi tabun innych czasów, w zasadzie załamanie poznania czasowo-egzystencjalnego, co rytmicznymi podeszwami zdradzało stale cienki stukot jego duszy, niezgodnej skrajnie z przedsięwzięciem, lecz czekającej i krystalizującej coraz to okrutniejsze scenariusze pomiędzy dwojgiem doktorskich uszu zawiętych.

Jak zdołam rozewrzeć oczy dnia następnego, jakim sposobem ujrzę światłem niebo i opowiem o bólu Bogu, myślał Doktor, jak poproszę o przebaczenie, nadal krztusząc się grzechem? Niepojętym rwaniem ostrzegął go najświętszy, bezsilny wobec doktorskich łez piaskowych, co prawdę gorzką przyćmiewały nędznymi drobinkami uprzedzeń, jakie obróciły lęki sparafrazowane w srogie wygórowania, pasma fundujące wstrząsy sumiennie-epileptyczne subiektywizmom, zbudźże się!

Proza winnych, czyli litania do kory zgniecionej niepoważnie pośrodku otwartego szkatułkowo osiedla myśli, senny, pęczniejący zgryzotą akt głowy. Ileż framug

stabilizowanych, kondygnacji złoconych umęczonym srebrem, jak długo bezowocnie wieść będzie ten lamentujący apel zgorszone, okielznane smętnie istnienie? Po co głowie ścięcie, na co pospiesznym towarem rozłąka, mantra krzyku szubienicy siostrzana? Welon ucieleśniony, krnąbrnie i niezwinnie opanowuje królestwo ołtarzowe, lustrując beznamiętnie w żyrandola czole zjawiska. Zjawili się goście bowiem, pochodne echo w żyłach, skwapliwym mrużeniem emanujący nieuprzejmie oraz podejrzliwie, wpełzli w łaski chronione mdłym sklepieniem przestrzennym mieszczącym wszelkie wątpliwości. Lampa tylko ich niedobory elementarne życia energetycznego i zaspokojenia, jak radio łapiąc motylki cierpień i o falowanych taflach zwierciadeł diamentowych marząc, osuwa, rozbłyskując salę sakralną, niewymiernie ubożej sakralnym losem przybyłych. Nie zwątpiła jeszcze, ni u dziury, bezzębnej wprawdzie, lordowskich skrzydeł drewnianych anielskiego wspomnienia, nie zstąpiła z pewnej chwały ułudnej i u symbolu klęczącego, w pół, cor cordium katedralnej wszystkoistości.

Panienka parała się teorią systematyizmu w praktyce oraz ekstraktem marazmu rutyny. W godzinach popołudniowych straszyla pod oknem Doktora, które przysposobiło sobie z przyzwoitym entuzjazmem imię wylotu klosza, w jakim snuł się całymi dobami roztrzęsiony, niezdefiniowany panicz.

- Nie sądziłam, że klosze posiadają wylot – osądziła Panienka.

- Nie przyjrzała się pani. Ledwie zerknęła. Proszę się doszukać.

Doktor wymyślił, że nie otrze pamięci z tych słów. Jakoby modlitwę, prosił je bezgłośnie intencją o lepsze życie. „Zerknąć nie wystarcza, i szczerze to głoszę, łaskawy Boże, muszę się przypatrzeć, ale klosze, na pewno mają wyloty... Istnieje ujście...”

- Powinieneś się zbadać.

Dziewczyna intrygowała zwłaszcza usłuchujące zwoje skórne Doktora, frapujące twierdzenia, jakich się dopuszczała, brzmiały bowiem niepowtarzalnością szarmancką i ostrą. Przed czasem jej, świat nie gderał lekarskiemu ujęciu kostno-organicznemu o niedoskonałościach, o enzymach goryczy pachnącej niewerbalną marnością, aluzyjnym bezsensie dekad pałaszujących wymiar nieuprzedzonych pojedynczo kroczących symultanicznie wierzeń, zamieszkałych między płatami skroniowymi nieśmiałyłymi obywateli. Zajmowała także mężczyźnie zgryzione w wiecznej, naprawdę niemomentaalnej, konsternacji głębokiej, wargi ust delikatne, wymownie wynajmowane przez gęste, niezrozumiałe wypowiedziane, za jakie przypłacał czynsz suchości strapionego w niepunktowym zaniemówieniu gardła. Panienka zdawała się paradoksalnie szanować jego wiary.

- Proszę pana, przysięgnie pan czy wygwizdże niczym helowy gumowany pustostan poprzez nieznalezione ujście kulejącej metafory klosza?
- Słucham? – promień rzeczywistości rozbił tkający się w głowie doktorskiej paluszek, opuszką, krańcem zeszkrobujący realizm i czarujący zbawienne miraże.
- Proszę nie myśleć – skitowała osoba, która była mu narzeczona. – Dotarliśmy wreszcie tu.
- Czy Ty, Doktorze...

Czasami następuje cudowne odwleczenie witrażu konsekwencji, jakie niczym mordercze windy zsuwają się wzdłuż wiotkich strun selektywnych aberracyjnych rzeczywistości, by dopełnić ostateczności – poprzez to, czym objęte jest pojmowanie tragicznego końca, kiedy wszystko, co mógł Doktor uczynić w życiu, to na owe zwiędnięcie spraw czekać, próżnować ku zwieńczeniom i prokrastynować upadek ról, a wszystkim, co był w mocy zmienić, jawiła się charakterność linii rzeźbiących percepcji plastycznie oziębłe pogranicza. Żona w rękach uzurpująca uścisk dłoni mosiężnej męża, opuściła katedralne wieko witrażowe i zbiegła radośnie po schodowych, sztywnych ciałach.

Jakież to piękne, że ludzie w nagłym blasku dostrzeżenia szczegółowego związanej ze swym bytem cechy, usiłują natychmiast ją rozerwać, zabić, wypłenić, przearanżować diametralnie. Kurtyna jest dla świadomości opieką, wobec myśli chłodziarką, jak płachta dla słoikowych boleści miękkiem inkubatorem zgrozy. Naturalne sztylety nieprzekonania, co do ślubu, dla mnie to ekscytujący wietrzyk niedopowiedzeń, głaszczący łaskawie me zamartwione imię, szepczący, że to jeszcze nie koniec, sprawa nie jest grobowa, wbrew oczywistej interpretacji wyczuwalnej zewsząd przysięgi, a już na pewno nie poważna. Nie cierpię sytuacji poważnych, poważnych ludzi i poważnych deklaracji, na szczęście ślub swą groteskowością odstrasza od podejrzewania go o element poważnego pokroju.

Trywialna obręcz dusiła jej palec, białka oczu z listy zaproszonych wedle praw świadomości wyperswadowały zgrzytną niespójność środowiskowo-relatywną w osobie bliźniaczej wedle łkającego sympatycznie pierścionka kary. Zaanektowane przełajowe czasoprzestrzenie wdzięku umownego serca zredukowały się bliżej zera. Presja, spotęgowałwszy ambiwalencję, wybuchła obojętnie.

Nieszczęśliwe lata później, Panienska wystosować miała do męża, anonimowo, podobny list:

„Doktorze, zdajesz się tracić wiary, w siebie, w Boga, w ludzkość, w rzeczywistość i nurty malownicze, przede wszystkim... Mogę pomóc Tobie pośród tych nagich myśli. Panna Twa najwyższa jest w mieście, nawet w sezonie śniegu płąsa zwiewnie i grzecznie, niczym zalotna ryba w gościnnym gronie popołudniowych fal. Jednakże wiem, że to nie Twój pokaz.

Ty nie piastujesz manierowanych zachowań, pustki sprzecznej wobec zachwiań, nie klaszczesz w otchłaniach dennych umiłowañ, nie pasujesz listów rozgorączkowanym miłosnym atramentem na swe służalcze ptaki, donoszące o topiących w afekcie wnętrzości pieśniach... Dlaczego w iluzoryczne progi konsensusu płaczesz tę dziewczynę, dlaczego tak często Was razem widuję, gdy pichcicie wesoło absurdalny piknik pośrodku gwiazd, z którymi, dobrze wiem, wolisz obcować sam? Nie rozumiem Twoich potrzeb dłużej, jeśli jesteście sobie potrzebni. Jeśli jest Tobie potrzebna, zatrzymaj ją przy sercu i ukaż nareszcie łagodnie swe wnętrze zaufaniem cikliwym... Jeśli zaś stanowi element kaprysu, odrzuć natychmiast, nie gódź nożem bezlitosnym tak młodego oglądu, tak drażliwego lica... To rozkaz, drogi Doktorze, nie zadławiaj się cudzym losem, tyś zdolny do takich targnięć! Nie psuj się, Doktorze. Z poważaniem... Żartowałam. P.S. Jestem Twoją osobistą prawdą, ponieważ znam Twoje wiary, Twoje szkło na niebie i umysł. Zapamiętaj, pomogę wszystkim...”

Doktor wejrzał w firmament. Intensyfikował wgląd, aż duszę jego plamicę poczęły niepowściągalne spazmy wygłuszającego bielma. Oskarżenia i winy nieszczerých rodzimých wątpliwości znokautowanych, postulowały o zaaferowany wyrzut, skapywały wraz z objęciem dotyku słonecznego z niewinnie przenikliwego nieba. Alegoryczna bańka wytłumienia poczęła się nieprzyjemnie złuszczać, rodząc salon perspektyw o giętkiej, elastycznej konsystencji; bez rusztowania solnego, niemodelowanych, silnych. Muzealne prawdy schowane, niczym kosmiczne słoiki, na zapleczu odetchnęły powłokami utraconych miesięcy w doktorską, zakłopotaną twarz; zaniemówił. Najboleśniej pragmatyczni ludzie znają sens, nie byłby kloszem klosz, coby pokazać śmiertelnikowi swe chwalebne ujście. Sądzące brzemie niebiańskie pękło, lecz nie odbył się szloch, nie pomścił go tragiczny gest rozdartych w skrzywieniu wyczulonych dostrzeżeń czy warg w bólu derealizacyjnym rozwytych. Chwycony uporczywie za nieswój nadal nieodczuwalny rękaw, pociągnięty, poddał się bez spowiedzi w pełen martyrologii i bezkresnie drącej słodczy wygłuszony stan, i życie bez wylotu, i bez dna.

Klaudia Purwin, *Podróżniczka nie podróżnik*

Podróżniczka nie podróżnik. Tylko czeka, nic nie robi, leniuchuje za ciemną kotarą oddzielającą scenę od poczekalni. Niedostępna dla widowni. Ta część ukryta za kulisami jest garderobą, kąciem charakteryzacji. To jej miejsce, niedoszłej gimnastyczki, wciąż czekającej na swoją kolej, ale jakoś nie udaje jej się wystąpić solo. Wciąż robi za tło. Często

nie zdąży wyjść na scenę, bo poprzedniczki bisują i dla niej już zabraknie czasu. Baletnica, aczkolwiek w zwykłej koszuli w kratę, zupełnie jak pracownik socjalny, niczym nie wyróżniająca się sprzątaczką. Ta bladeść jest dobra – tłumaczy sobie. To czekanie jest potrzebne, mogę się lepiej przygotować – powtarza. Już napina mięśnie, rozciąga plecy – ot zwykła potrzeba ciała. Od tego czekania ma przykurcz w prawym biodrze, góra, dół, góra i jeszcze raz skłon i w bok, krąży kostkami w celu chrupania, już jest oczyszczona ze złogów wapnia. Uprzednio dobrze się przygotowała, zrobiła rozgrzewkę, fragment po fragmencie od stopy po koniuszki palca, a ramiona są najważniejsze. Potem przećwiczyła swoją część i jeszcze przypomniała sobie fragmenty występu koleżanek, gdyby któraś źle się poczuła i nie mogła odtańczyć swojej roli. Tak się jednak nigdy nie stało.

Teraz jest katedrą ciała, punktem, swoim własnym wnętrzem, tam w środku wciąż coś się dzieje, jelita się korkują. Brzuszna autostrada ma problem na zjeździe do nerek. Ślizgawka w przelyku zamarzła, to wewnętrzne miasto jest jak ruchliwy Nowy Jork, a na zewnątrz zwykła wieś. Spokój, kamienna twarz pozbawiona emocji, nieoznakowana droga. Przelyka łyzy goryczy, gdy znów przesiedziała za kulisami trzy godziny, a tam w środku powódź zalewa miasto. Zawory puszczają, woda tryska do płuc, dusząc napływem powietrza, ale nie tonie, przepycha rury, udrażnia kanalizację i znów mamy tylko miejską fontannę. Tancerka czeka na lepszą kondycję, lepszy czas dla swojej katedry. Teraz ciało katedry gnije, rozbite w drobny mak malownicze witraże. Kiedyś zdobiły one katedrę, dziś są tylko zamglonymi, pokrytymi zmarszczkami oczami. Wcześniej katedrę utrzymywały w ryzach ogromne filary, dziś te fundamenty to piasek, chybotliwe podpory, łuki, kruszące się ściany. Dziś opiera się na lasce, wspomaga ibuprofenem. Ta gnijąca świątynia była kiedyś miejscem gwarnym, zatłoczonym i pełnym życia, teraz cicho melduje wykonanie zadania, bezwiedne spełnienie funkcji. I jakże za tym gwarem jej tęskno. Ogrzewa stołek za sceną, bo nie potrafi zburzyć katedry, mimo że zagrzybiały budynek śmierdzi i nadaje się tylko do rozbiórki, bo grozi zawaleniem, ona wciąż wierzy w renowację. Czeką na dobrego architekta, który ujrzy w niej boską diwę, a potem jeszcze zagra pierwsze skrzypce w seniorskim spektaklu. Między wątrową a śledzioną stoi drobny sprzedawca nadziei, turla obietnice udanego występu, ma sakiewkę braw i koszt docenienia.

Ciało tej katedry gniło. Tancerka zapadała się w siebie, kadrowała pragnienia aktów, w których nie zatańczyła, ludzi których nie spotkała, a miała na to ochotę. Podróżniczka po zakamarkach swojej duszy siedzi nieruchomo za kotarą niespełnionych marzeń, układając między palcami pragnienia z tiulowej spódniczki i niespełnione piruety porzuconymi w kącie pointami.

Natalia Szmidt, *Serce Lasu*

Stary wędrowny bazarz jak zwykle otoczony był tłumem gawiedzi spragnionej opowieści o magii i dziwach. Przywykł do tego. Choć miał za sobą wiele wiosen, wędrował od wsi do wsi przyjmując jadło i schronienie, a w zamian opowiadając jedyną historię, którą w pełni pamiętał, nawet jeśli nie w pełni ją rozumiał. Odchrząknął, splunął i przywołał po stokroć powtarzany tekst: „Bajka zaczyna się w chatce, co stała wpośród bujnej leśnej polany...”

Mieściła tylko dwa pokoje, ponieważ miała tylko dwóch mieszkańców. Pierwszym był wysoki, silny młodzieniec o długich brązowych włosach i lśniących zielonych oczach, pełen energii i radości, z wiecznym uśmiechem na twarzy. Drugim była jego sprytna i zwinna młodsza siostra. Niestety, młodzieniec ów nie pamiętał swej przeszłości. Jedyne wspomnienia, które posiadał, zaczynały się i kończyły na domku w lesie. Postanowił jednak nie marnować nielicznych skrawków doświadczenia – został drwalem. Lecz nigdy nie udało mu się ściąć żadnego drzewa...

Codziennie o świcie wychodził przed dom i zawzięcie uderzał siekierą w pień tej samej rośliny. I choć nacięcie w drewnie widocznie się pogłębiało, rezultat pracy ukazywał, że drwal nie dotarł nawet do połowy pnia. Jego młodsza siostra była z tego bardzo zadowolona. Gdy tylko brat odkładał siekierę, biegła w stronę drzewa, zręcznie wczepiała palce w korę i zdobywszy szczyt, kołysała się w rytm wiatru, szepczącego swe melodie wśród zielonych liści.

Ktoś mógłby stwierdzić, że w ich życiu nie powinno być miejsca na taką beztroskę, przecież bez efektywnej pracy nie mieli za co kupić sobie jedzenia... Lecz mieszkańcy leśnego domku co rano doświadczali cudu! Wystarczyło zostawić wieczorem na stole pustą drewnianą miskę, aby rano znaleźć ją pełną orzechów, leśnych owoców czy jadalnych liści. Tak było i tego wieczora. Drwal zostawił pustą miskę na stole i udał się wraz z siostrą na spoczynek.

Jednak, gdy noc objęła świat we władanie, zbudziły go dźwięki, których nigdy wcześniej nie słyszał. Po cichu wstał, zapalił świecę i stąpając ostrożnie przeszedł do pokoju młodszej siostry, skąd dobywały się szmery. Ku swemu zaskoczeniu, w łóżku zastał nie dziewczynkę, a ognistorudą wiewiórkę z łapkami pełnymi orzechów. Na widok młodzieńca wiewiórka lekko skoczyła na podłogę, po czym pomknęła prosto do drzwi zapominając o orzechach. Początkowo, zastygły w zdziwieniu drwal nie był w stanie zmusić swego ciała do ruchu, toteż zwierzątko szybko znikło mu z oczu. Lecz w następnej sekundzie poczuł przyćmiewające wszystko inne pragnienie, aby biec za nim i spojrzeć na nie jeszcze raz. Pognał w stronę drzwi, po drodze niemal strącając ze stołu w połowie pełną już miskę.

Wyjrawszy na zewnątrz, zobaczył tajemniczą wiewiórkę, czekającą na niego pośrodku polany przed domem. Niestety, zaraz znów ją zgubił, bowiem wiewiórka wspięła się na drzewo. Na to samo wielkie drzewo, które było przedmiotem pracy drwala, a zajęło jej to chwilę nie dłuższą niż trzy machnięcia skrzydeł kruka.

Młodzieniec dobiegł do pnia i desperacko zaczął się nań wspinać, powtarzając w myślach imię siostry, jak potężnego bytu, który przywołuje się w momentach słabości, aby użyty wzywającemu swojej siły. Niestety, palce zgrubiałe i zeszywniałe od trzymania siekiery, pozwoliły mu jedynie na zdrapywanie kory z drzewa i nieznaczne posuwanie się w górę. Sytuacja poprawiła się, gdy dotarł do gałęzi. I wtedy, gdy zdało mu się, że już prawie dosięgnął stworzonka, na czubek drzewa zstąpił duch ognisty, wzniecając pożogę wokół domku drwala. Przestraszony młodzieniec omal spadł, cofając się odruchowo, gdy jaśniejąca istota pojawiła się przed nim spoglądając nań dumnie z wysoka.

Bajarz zrobił efektowną pauzę. Spojrzał na grupkę dzieci, które nie odrywały wzroku od czarnej ściany lasu za jego plecami. Kilkoro z nich przysunęło się bliżej do matek. Z niekłamaną satysfakcją podjął opowieść, a jego głos nabrał głębi i patosu:

„I wtedy wiewiórka rozpałała się niby żywy płomień. I przybrała postać dziewczynki, lecz na krótką tylko chwilę. I zajrawszy w oczy drwala przepełnione trwogą, przemówiła, a słowa jej płynęły w języku ognia: „Musiałam udawać twą siostrę, choć nią nie byłam, lecz zrobiłam to z powodu twego przeznaczenia. Ono to doprowadziło cię tutaj, byś powrócił.” Słowa owe, wybrzmiewszy, rozpląnęły się w dłoni ducha ognistego, a ona podążyła za nimi. A drwal porzucony został z jedną tylko myślą: „Skacz w ogień, tam oczyszczenie i przeznaczenie twoje!”

I spojrzął raz jeszcze w górę, gdzie z wysokości czuwał duch ognisty. A duch ognisty ukazał uśmiech tak zmienny, jak zmiennym jest płomień, gdy pełga w ognisku samotnego podróżnika...”

Nagle za starcem pojawiła się postać owinięta czarnym płaszczem. Nie było widać jej twarzy, nie było widać jej dłoni. Tylko na szyi niby zorza polarna jaśniała chusta z nieznanego nikomu materiału. Rozległ się delikatny dźwięk uderzanych strun i postać przemówiła, a głos jej był tak czysty jak niebo nocą, a melodia perlista niby gwiazdy na nim:

„Skoczył. Nie, po prostu puścił się drzewa i zamknął oczy. Serce biło mu jak szalone, gdy podjął tę decyzję. Serce biło mu jak szalone, gdy wpadał w objęcia płomieni. Ale nie poczuł bólu. Poczuli, jakby siostra gładziła jego włosy. Wreszcie, gdy dosięgnął ziemi, płomień zniknęły.

Nazajutrz, delikatne promienie Słońca goniły się po jego twarzy. Nie otworzył jednak oczu. Nie otworzył ich już nigdy.

I choć jego ciało zwiódłoby większość osób, on nie umarł. On po prostu wypełnił swoje przeznaczenie, powrócił.

Jego skóra przybrała barwę ziemi, jego dotyk przejął ziemisty chłód. Spomiędzy jego rozrzuconych włosów z czasem wyjrzały kwiaty. Wyglądał wtedy pięknie, jakby jego głowa uwieńczona była kwiecistą koroną.

On nie umarł, on po prostu powrócił.

Gdy leciały nad nim ptaki, wiedział, że są jednym. Gdy szumiały nad nim drzewa, wiedział, że są jednym. Gdy przysiadła na nim pszczoła, wiedział, że są jednym.

On nie umarł - on powrócił do życia! Do życia wplecionego w rytm Serca Lasu.”

Wiktoria Szykulska, *Wpadki życia codziennego*

GUSTAW:

*A, bardzo ciekawy,
Co moją pannę obchodzić może,
Kiedy, jak i gdzie ja się spać położę?
Nie śpię - tym lepiej dla niej, bo na jawie
Nią tylko jedną myślą moje bawię
I do niej wdycham, tak w dzień, jak i w nocy
Ale jak zasnę - jestże to w mej mocy?*

Aleksander Fredro "Śluby panieńskie"

Wypadki życia codziennego

Po opuszczeniu przesyconego blaskiem tysiąca jarzeniówek supermarketu ich dłonie rozłączają się, zwiotczałe palce opadają odrębnie wzdłuż lekko pochylonych w deszczu sylwetek. Wyprostowane na baczność strumienie przecinają krajobraz parkingu wypełniony obłymi autami, trącającymi charakterystyczną dla maszyn samotnością, których lampy od czasu do czasu wypełnia migotliwe, krótkotrwałe światło zrozumienia.

Bałęcki ma na sobie foliowy płaszcz obciążony na długich, chudych ramionach, którego kieszenie są zbyt głębokie, by od razu udało się odszukać w nich kluczyki – szpera zatem dotąd, aż opuszki jego palców zahaczają o chropowatą powłokę podszewki tkaniny. W jej miejscu wyczuwa tylko kilka drobnych odprysków piasku oraz paperek po batoniku

Oshee. Kilka kropli osiada na jego nosie, gdy spogląda w stronę Krystyny, jednocześnie przeszukując nerwowo kieszenie. W pewnym momencie po prostu kręci głową, a świat przed nim wiruje lekko, z gracją, niczym baletnica, dla której pogoda nie stanowi żadnych ograniczeń w opętańczym tańcu zapomnienia. Kobieta wzdycha poziomo, świst powietrza przebiega przez jej nieco zachodzące na siebie jedyńki, po czym odgarnia czarne, poprzetykane u nasady jasnymi odrostami włosy, i mówi, że powinni wrócić do sklepu.

Rozmyte, zmęczone twarze odbijają się w wielkich, szklanych drzwiach, które rozsuwają uprzejmie swoje poły, odkrywając nagość fluoryzujących pomieszczeń wzmocnioną dodatkowo wszechobecnymi, krzykliwymi kolorami wołających o coś niewyraźnie reklam czy też sepleniących plastikowym przekazem manekinów.

Ich dłonie już nie podążają ku sobie, gdy zagładają do kolejnych pomieszczeń, przymierzalni, w których Krystyna nasuwała na siebie kolejne zapięcia, zamykając się wewnątrz ciemnych, nieco zbyt porozciąganych w stosunku do jej figury tkanin. Papierowa torba uderza o kolano Bałęckiego, który czuje się dziwnie mały, pokurczony i ukryty – w dodatku oczy zaczynają go piec od pulsującego wokoło oświetlenia.

– Nie ma. – Kobieta zaplata ramiona na piersiach i złącza razem stopy, uciekając gdzieś daleko oczyma, których ani ona, ani on nie potrafią odszukać. Zbyt wiele rzeczy można zgubić w śmiesznie krótkim napięciu powierzchniowym sekund.

Bałęcki w gwałtownym przyplýwie przygnębienia – które osiada na jego ramionach niczym kamienna budowla, wspinająca się ku niebu po spiętrzonych schodkowo pracy niewolnika – doznaje niespodziewanego przebłysku, za którym zmierza posłusznie do sklepowej łazienki wypełnionej po brzegi płynnym szkłem luster i dziwnym, mrukliwym milczeniem, w jakim ludzie mijają się nawzajem, rzucając ostrzegawcze, przynależne współnikom jakiejś tajemniczej sprawy, spojrzenia. Wbiega do jednej z kabin, a jego serce mamrocze i miga. Przestaje być mięśniem i przedzierga się w odrębny byt, z którego uchodzi powietrze na widok małego, czarnego punktu, schowanego dyskretnie tuż obok rozchełstanego kosza na śmieci. Mężczyzna wraca jako zwycięzca. Torba już mu nie ciąży, oczy przestały swędzieć w wysuszonych na wiór kącikach. W dłoniach zaś dzierży kluczyki, które kołyszą się filuternie, niemal wesoło jak słowa igrające pomiędzy przeskokami strefowymi uczuć. Rozgląda się dookoła i na moment zamiera – potem jednak szczęśliwie chwytą ją wzrokiem i już wie, że odnaleźli właściwy punkt zaczepienia, w którym można zanurzyć oszczep tego wspomnienia w taki sposób, by nie oblewała go dławiąca fosa ropy. Wyciąga dłoń w geście niemego, nieporadnego triumfu – ona jednak na powrót odwraca wzrok i w taki sposób, w ciemniejszej otchłani własnych spojrzeń, zmierzają do samochodu.

Na zewnątrz świat zdążył przygasnąć, niebo obniżyło się, zamaskowane dokładnie pod ciężkimi kożuchami spienionych buntowniczo chmur. Deszcz zacina już tylko w lekkich, spazmatycznych podrygach substancji zupełnie nieprzystającej do nowej, wieczornej pory, w którą oni zanurzają się w cichym, dyskretnym mruczeniu silnika. Z biegiem czasu zaczyna przeradzać się w gniewny, irytujący falset.

– Mówiłam, że trzeba coś zrobić z tym odgłosem. – Bałęcki czuje, jak te słowa, stopione w jedno z suchym tembrem głosu, wyrrywają go z otępienia, rozbijają wszelkie systemy obronne, które zdołał wykształcić w ostatnich minutach – i cieszy się, że jego dłonie znajdują się na twardej kierownicy, która nie ustępuje pod naporem zaciskających się na gumowej powierzchni palców. Kiwa więc tylko głową i przetyka nagromadzone w gardle emocje; tak bardzo chciałby dojechać już do domu, że jest w stanie coraz szybciej i szybciej mknąć w gęstwinie łopocącego o szyby deszczu.

Krystyna stara się maksymalnie oddalić w myślach od miejsca, w którym ustanowił ją ten moment; spogląda zatem w szkło, poza którym rozpościera się zieleń drzew i szachownica budynków o prostych, socrealistycznych garniturach. Wydają jej się zbyt bliskie i zetłałe, jak gdyby pnący się po powietrzu deszcz zmieniał konsystencję znajdujących się dookoła obiektów, jakby utwardzał ich gęstwinę i przedzierzgał ją w zwartą, lepka masę pozbawioną treści. Z kataleptycznego marazmu rozmyślań wyrzywa ją dopiero delikatny pisk opon, które zatrzymują się na brukowanej powierzchni podjazdu – wtedy szarpie za klamkę i wypada na zewnątrz, łapiąc zimny, zmieszany z wodą i błotem oddech wypełniony po brzegi mielizną, która rozdrabnia jej wnętrze na maleńkie kawałeczki smutku. Nie ma ochoty na słowa, torby z zakupami pozostawia Bałęckiemu i rusza w stronę drzwi, które odblokowuje przesunięciem pokrytego korozją klucza. W mieszkaniu panuje cisza, a jej despotyczne rządy objawiają się w miękkiej, przytłumionej barwie mebli, zasznurowanych ustach telewizora i anemicznym rzeźeniu lodówki.

Zamyka się w łazience i powoli zsuwa z bioder przemoczone u spodu nogawek spodnie, ujmuje w dwa palce białą bluzkę, którą następnie strąca przez głowę, na koniec owija w nią splątane koniuszki włosów, z których bezwolnie toczy się mialka, pachnąca czymś nieprzeniknionym i obcym cieczą.

W lustrze na przeciwko widzi niską, bladą postać o wypukłym brzuchu i mocnych łydkach. Pod agrestowymi oczami zdążyły wykwitnąć ciemne obwódki tuszu, które nadają jej drobnej, nieregularnej twarzy wyraz nieutulonego, pozbawionego wszelkiej otuchy przygnębienia. Zanurza twarz w dłoniach i zaczyna płakać, a pomiędzy łzami usuwa z twarzy pozostałości nieporadnego makijażu. Ta wionąca bezbronnością nagość własnej osoby z

wolna zaczyna przynosić jej swego rodzaju poczucie wewnętrznego ustabilizowania, niemającego jednak wiele wspólnego z jakąkolwiek formą poczucia bezpieczeństwa. Gdy usuwa ze skóry resztki dawnego czasu, na powrót staje się wyprostowaną, pozbawioną wszelkiego uniesienia kobietą – lekko zaczerwieniona twarz, jeszcze wilgotne, opadające w strąkach włosy i szare oczy, które patrzą nie wiadomo na co. Tak też zdaje się ją postrzegać Bałęcki, gdy przystaje cicho u progu kuchni, w której on rozwiązuje na małym, okrągłym stoliku krzyżówki.

– Autor „Ślubów panińskich”, na sześć liter. – Mężczyzna unosi wzrok znad ciężkich okularów w niklowanej oprawie i spogląda pytająco, jak petent z nadzieją oczekujący na obsługę. Krystyna w jednej chwili czuje, jak łączą się w niej synkretyczne, zespolone ze sobą komunikaty, przenikające się w jeden nieuporządkowany, frenetyczny wybuch niepokojącego śmiechu, który przez cały czas pozostaje ukryty, pochowany w brzuchu niczym ułagodzone dziecko. Te wszystkie uczucia, zebrane w jednym człowieku jak garść popiołu, dynamizują jej ruchy, przez co w pomieszczeniu zaczynają rozbrzmiewać głucho trzaski zamykanych szafek i gwałtowne spięcia naczyń, brutalnie uderzających o blaty.

– Dlaczego ty zawsze kierujesz się emocjami? – Jego dłonie odsłaniają niecierpliwość, gdy zamyka zbiór rebusów i wstaje, jak gdyby w takiej pozycji jego głos był bardziej słyszalny, a słowa klarowniejsze. – Nie możemy porozmawiać ze sobą jak ludzie? Dojść do jakiegoś konsensusu?

– Myślę, że to już od dawna przestało być możliwe. – Krystyna zalewa kawę, która pachnie otępiająco; jej woń unosi się wysoko i pęka przezroczystą bańką goryczy. – Jeśli chcesz coś naprawić, mamy zepsuty samochód i dogorywającą lodówkę. Warto zacząć od najprostszych rzeczy.

– Nie wierzę, by tak miało być, ale jeżeli cokolwiek jeszcze ma dla ciebie znaczenie, to proszę, powstrzymaj się od pustych drwin. – W postaci jej męża jest coś stanowczego, a zarazem miękkiego, rozpuszczonego, co sprawia, że kobieta nie może na niego spojrzeć otwarcie, patrzy jedynie kątem oka. W przerwach od milczących spojrzeń miesza napój, który wydziela parującą inność.

Naraz łyżeczka zahacza o krawędź naczynia, ta z kolei przechyla się, uwalniając swą zawartość na powierzchnię poznaczonego pęknięciami blatu. Kawa płynie wartkim strumieniem, a Bałęcki zaczyna krzyżeć; mówi, że tak się kończy wszystko, czego ona się dotknie, że w niej samej tkwi pragnienie psucia, niszczenia, a takie gesty pokazują tylko, na jakim poziomie rzeczywiście zatrzymała się ich umiejętność rozmowy. Krystyna nie pozostaje mu dłużna; wyrzuca z siebie, iż jest mrukiwy i opieszaly, zarzuca mu, że jest

mężczyzną, który w nic nie wierzy i o niczym nie jest w stanie sam stanąć. W końcu, przecinając linię wzajemnej złości, kobieta wybiega do przedpokoju, myśląc "jak dobrze, że w domu nie ma dzieci", po czym, nie wiedząc czemu, chwyta foliowy płaszcz męża i wydostaje się na ulicę.

Gdy tylko powietrze na powrót zadomawia się w jej płucach, Krystyna czuje, że jest rybą pozbawioną uczuć, która otwiera usta i przyjmuje nieżycie, tę samą martwą formę oddając światu. Przy drodze palą się już latarnie uliczne i zauważa, że teraz światło jest wszechobecne, ciemność unosi się już tylko w pojedynczych sferach rzeczywistości, Jednakże jej nieobecność zdaje się być bardziej niebezpieczna, jak dodatkowy, nieistniejący cień, który prześladowuje człowieka lub szept, nienadający się do właściwej ludzkiej artykulacji.

Ulica pozostaje pusta od niespacerujących po niej ludzi, jedynie gdzieś można usłyszeć odpryski wrzasków, panicznych pokrzykiwań, pozostających jednak najczęściej bez odpowiedzi. Kobieta wyczuwa drgającą na jej plecach dłoń niepokoju, której palce, wbrew podpowiedziom rozsądku, popychają całą sylwetkę Krystyny do przodu, wzdłuż wyblakłego od słońca chodnika, jakby była rzeźbą przesuwaną po niestabilnym postumencie. Wówczas obok niej pojawia się dźwięk drapiącego chrobotu, a tuż za nim – szeroki, żółty wózek akumulatorowy, na którego platformie siedziało trzech mężczyzn: dwóch podstarzałych i niskich, a pomiędzy nimi młody, wysoki, z ciemnymi prostymi włosami, ostrzyżonymi tuż przy skórze.

– To niedobry pomysł chodzić teraz po ulicy, obywatelko. – Siwowłosa zdejmując czapkę i ociera nią spocone czoło, a następnie wymierza krótką salwę spojrzenia w stronę młodego, który wlepia w nią swoje nieustępliwe, ciemnobrązowe oczy. – Możecie przyłączyć się do nas. To na pewno będzie lepsze wyjście, niż samotne łażenie po terytorium bandytów. – Dajcie sobie spokój, towarzyszu, mnie nie przekonacie. – Spróbowała spojrzeć na niego stanowczo. – Sama wiem, co jest dla mnie dobre.

Mężczyźni zaśmiewają się tylko głośno na jej odpowiedź, po czym toczą się dalej, kierując wózek w stronę wzniesienia, za którym rozpina się wieczorny mrok. Mimo wszystkich emocji, które szarpia duszącą powłoką jej ciała, Krystyna postanawia zawrócić – panująca wokoło cisza z każdą chwilą zaczyna być coraz bardziej złowroga. Zastanawia się, jaki był sens jej marszu, ponieważ od początku wiedziała, że w ten sposób nie wydostanie się z domu: on tkwi w niej z całą swoją milczącą kłótnią, która rozgrywa się codziennie, nieustannie, tocząc z Krystyną (lub bez niej) najbardziej zażarte rozprawy sądowe, rodzące bezimienne wyroki o związku, którego poczęcie od zawsze naznaczone jest oskarżeniem.

Dom, który spróbowała stworzyć ze swoim mężem, pochłonął ich w całości, a następnie wydał na świat jeszcze raz, rozrywając ochronną błonę czasu i wydzielając sekundy na podstawie najprostszego systemu racjonowania miłości, który bezustannie domaga się zaspokojenia własnych potrzeb.

W pewnym momencie z sąsiedniej uliczki dobiega ją nieznośna wrzawa, wymykająca się ludzkim możliwościom pojmowania melodii dźwięku; mieści ona w sobie zwierzęce pojękiwania i chłopiące okrzyki, tętniące u nasady bólu.

Mężczyźni, których twarze osłonięte są przezroczystymi hełmami, a ciała – granatowymi mundurami, wdają się w zażartą bójkę z grupą odkrytych wobec rzeczywistości nastolatków, którzy bronią się kamieniami, odłamkami szyby i wyrwanymi ze stropu poczty deskami. Milicjanci nacierają co chwila z długimi gumowymi pałkami, potem cofają się i żartują między sobą, by na koniec ponownie z zaskoczenia uderzyć na zamkniętych w kordonie przeciwników. Wśród nich znajduje się jedna dziewczyna, jasnowłosa, nieustannie wołająca o pomoc – tylko ona ma przytomne, widzące oczy. Skroń powyżej jej lewego oka broczy krwią – tym okiem dziewczyna wypatruje Krystynę i przez chwilę krótką jak uderzenie serca, wydaje jej się to najstraszniejszym, mrożącym krew w żyłach spojrzeniem, z jakim się spotkała. To ono przyciąga ją do odkrycia kolejnego szczegółu, dotyczącego owej postaci: dziewczyna jest w ciąży. Ma nieprzyjemny głos który odcina się na tle wrzasków mężczyzn i którym łka teraz, wyzywając Krystynę, lżąc ją i przeklinając. Wiązanka wyzwisk sprawia, że kobieta popada w dobrze jej znaną apatię, która pozwala zapanować nad stopami czemuś zgoła innemu niż rozwaga. Krystyna postępuje w stronę dziewczyny i oto jej pole widzenia zawęża się do tej jednej postaci, jak gdyby skupiała wokół siebie całą ekstrawertyczną energię wszechświata.

Coś drapie ją w gardle i nie może krzyknąć, przy tym przestaje być zdolna do tego, by w ogóle wypowiadać słowa. Naraz tuż nad jej głową przelatuje cuchnącą butelka z benzyną, za którą sunie cicho snop dymu. Krystyna wzdryga się i zatrzymuje na moment. Tuż za jej plecami słychać dźwięk pękającego na wszystkie strony szkła.

– Wycofajcie się, towarzyszeko. – Milicjant ma szeroką, nalaną twarz, w której usta rozciągają się przepastnie, niczym jama pochłaniająca słowa. Po chwili odwraca się w stronę pozostałych funkcjonariuszy i splotu na pokropiony krwią bruk.

– Pomyłona, nie reaguje na to, co się mówi. – Komenderuje drugi, nieco młodszy, w dodatku cały posiniaczony. Umundurowanie zwisa na nim w strzępach jak niepasująca skóra.

– Halo, obywatelko, mimo że mnie nie poznajecie, to gwarantuję, że nie chciałybyście do nas dołączyć. Nie ma tu nic ciekawego.

Rubaszny wybuch śmiechu, następujący natychmiast po jego słowach, prowadzi do kilku pomniejszych prób podjęcia oporu przez nastolatków, uwięzionych wewnątrz kręgu milicjantów. Rudowłosy chłopak rzuca się siłą wątlej sylwetki na niskiego milicjanta – ten jednak uprzedza jego ruch gwałtownym ciosem pałki, która powala chłopaka na ziemię. Dziewczyna zanosi się spazmatycznym szlochem, a potem znowu do głosu dochodzi w niej wściekłość; zaczyna obrzucać wszystkich dookoła stekiem pełgających w ustach inwektyw.

Krystyna zbliża się, niesiona dalej czymś zgoła innym niż stopy. Od pewnego czasu przeżera je od wewnątrz dyskomfort bólu – po niewczasie odkrywa, iż odłamek zbitej butelki utkwiał w jej stopie.

– Chwila, chłopaki. – Milicjant w podartym mundurze odpycha od siebie z całym siłą rudowłosego chłopaka i wbija wzrok w Krystynę, jak medyczną igłę, po której jeszcze silniej uchodzą z niej wszystkie emocje. „Jestem kukłą”, myśli kobieta, „słomianą, wyposzczoną od środka kukłą, którą ktoś zaraz podpali i postawi niczym pochodnię dla potomnych - nieczujących”.

– Czy nie mamy przypadkiem do czynienia z żoną sierżanta Bałęckiego? – Naraz robi się cicho, rzecz tak niespodziewana na tej ulicy, która płynie krwią. Milicjanci rozstępują się na boki, jeden z nich natychmiast oferuje swą pomoc, przy usunięciu szkła ze stopy, pozostali popatrują po sobie niepewnie.

– Owszem, jestem żoną sierżanta – te słowa wydostają się z jej ust, małe i suche niczym pojedyncze kamienie wypuszczane wraz z nurtem zepsutej od martwych stworzeń rzeki – i z pewnością mogę w jego imieniu przekazać, że pora się rozejść, towarzysze.

Mężczyźni zaganiają chłopaków do radiowozu, ze strzępów rozmów można wywnioskować, iż planują przewieźć ich na posterunek, potem przesłuchać, a w następnej kolejności zdecydować, jak dalej postąpić z niewolą uwięzionych.

Kobieta spogląda na dziewczynę, która uparcie śledzi wzrokiem konwój milicyjny, odgarniając przy tym z wściekłością kołtun włosów z czoła. Następnie rusza w stronę płonących nieopodal kamienic – po drodze potrąca Krystynę ramieniem – i podąża przed siebie, trąc stopą o stopę, jakby w ten sposób mogła wytworzyć upragniony przepływ ciepła, czule broniący ją samą przed upadkiem.

Krystyna, po milczącej chwili wahania, zamyka się w sobie zupełnie i skulona w blasku nieobecnej, lecz wciąż wyczuwalnej ciemności, wyrusza w kierunku mieszkania. Jej dom nie płonie, lecz stoi pewnie pośród pożogi, będącej znakiem czasu, ruchomą wskazówką odcinającą kolejne węzły istnień od tarczy dryfujących na przestrzeni zgniłego zegara

przemian. W oknie ujawnia się cień postaci jej męża i już wie, że tym razem ich odwieczne role odegra cisza.